WIENIEC

PISMO POSWIECONE

LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie,
Tych wonią serca pieszczę, tych się barwą zdobię.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

Rok drugi, Tom VIII.

MIESIĄC LISTOPAD.

WARSZAWA

1840.

Zofia Szepietowska

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

ZAWIEDZIONA MIŁOŚĆ

I.

W jesieni 1840 roku, podczas dnia dżdży-stego, toczył się gościńcem w południowych Niemczech, lekki wózek dwoma dzielnemi gnia-doszami zaprzężony, które, mimo burzliwego powietrza, dziarsko unosiły swego pana, szanownego garbarza Willibalda Horn. Kiedy Tomasz wygodnie kołysał się na swym koźle

gwizdał ulubioną piosenkę, i cieszył się dobrym zaprzęgiem swych zwierząt,— pan jego okrywszy się płaszczem, przed przymrozkiem jesiennym, wcisnął się w sam koniec wózka, i tak wesoło puszczał niebieskie kłęby dymu swego Knastru na wilgotne i mgliste powietrze, że niktby nie wątpił, ktoby widział te pogodne rysy jego młodzieńczéj jeszcze twarzy, iż majster Horn jest jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie i najmniéj kłopotów mających. — Tak też było w istocie. — Przy spokojnym sposobie myślenia i wrodzoném umiarkowaniu, posiadał on chociaż nie bogactwa, jednakowoż piękną sumkę brzęczących talarów; i można go było liczyć równie do najzamożniejszych majstrów swego rzemiosła, jako i do najznakomitszych obywateli miasta Memmingen. Prawie przed dwoma latami utracił swą małżonkę, dobre łagodne stworzenie. Zniósłszy tę stratę w sposób godny człowieka rozsądnego, całe swe staranie łożył teraz na wychowanie piętnastoletniego syna Konrada, którego po dojrzałéj rozwadze nie na garbarza, ale na u-

czonego kierować zamierzał. — Konrad był chłopcem który odpowiedział zupełnie jego nadziejom, a tak wszystko szło w domu w ten sposób, że Horn mógł być zupełnie spokojnym. U wszystkich majstrów był zaś w takiém poważaniu, że kiedy w wątpliwych okolicznościach rady potrzebowano, Horna zdanie przenoszoném było nad wszystkie inne i do niego stosowano się. — Mieszkańcy miasta Memningen liczyli ciągle Willibalda, pomimo jego 45 lat, do pięknych mężczyzn, i utrzymywali że nie obawiając się niepomyślnéj odpowiedzi, może do każdéj z panien uderzyć; gdyż piękność miasta Memmingen, równie jak wszystkie inne dziewczęta, z chęcią się poddają pod słodkie jarzmo małżeńskiego stanu — Nadto miał on jak to mówią, pełną oborę i komorę, koło czegoby się każda kobiéta wygodnie krzątać mogła; słowem, Horn posiadał wszystkie przymioty aby mógł być dobrym mężem; jednakowoż poczciwy majster wzbraniał się zawarcia nowego związku, gdyż podzielał to gruntowne zdanie, że w naszych czasach, w których z książek starają się nabywać przymiotów dobréj

żony i gospodyni, święty związek małżeński stał się zanadto wątpliwą loterją, w którą łatwo przegrać można, i otrzymać zepsutą małżonkę. Tak uczciwéj, dobréj duszy jak nieboszka, nie spodziewał się znaleźć, a złéj jakiéj jędzy lub marnotrawnéj nie chciał sobie wziąść na kark na swe stare lata. A tak był wdowcem — gdy mu przyszła wesoła myśl do głowy, to pobawił się z jakiém ładném dziewczęciem, które nie pyta się zaraz po niewinnem pocałowaniu, a kiedy ślub będzie — i żył zadowolony ze swego położenia będąc panem samego siebie. Otoż los godny zazdrości!

Już prawie dobrą godzinę nasz wesoły podróżny jechał, niespotkawszy nikogo na pustym gościńcu, gdyż silny deszcz każdego podróżnego, którego konieczność nie znaglała, w wygodnéj gospodzie przez tę godzinę zatrzymał: gdy w chwili, kiedy około rogu lasku przejeżdżali, postrzegł Horn z niemałém swem podziwieniem panienkę, która mimo przykrego powietrza, szła wesoło, jakby zalany wodą gościniec był najpiękniejszą przechadzką. — Dziewczyna miała około lat ośmnastu,

była przyjemną i piękną; jak to mógł sądzić z ulotnie rzuconego na nią spojrzenia i nasz majster z tém większą ciekawością rad był dowiedzieć się o celu tak spiesznéj pieszéj podróży wśród takiéj niepogody, iż ubiór jéj cokolwiek odmienny świadczył iż nie była z okolic Memmingen.

Już wózek ją dogonił, i Horn miał zamiar polecić woźnicy, aby wolniejszym jechał krokiem, gdy Tomasz pod pozorem wytchnięcia zmordowanym koniom, pochwycił za wodze, i dał przez to sposobność swemu panu i sobie, wygodniejszego przypatrzenia się téj miłéj podróżnéj.

Co Horn uważał z pierwszego spojrzenia, potwierdziło się teraz; maleńka była w istocie bardzo piękną, i wyrzekła tak czystym głosem i z ujmującym wdziękiem swoje „dzień dobry" że obadwa zachwyceni byli tém miłém zjawiskiem — Przez kilka chwil toczył się wózek koło niéj, a nasza nieznajoma z oczami zwróconemi na tę wązką ścieszkę którędy jeszcze przejść można było, szła ciągle nie zważając na jadących koło niéj podróżnych.

Horn ani na chwilę nie spuścił ją z oka, i żałował serdecznie, że deszcz, który teraz dwa razy silniejszym mu się zdawał, zupełnie przemoczyć ją musiał. — Chętnie wziąłby ją do swego wózka lecz chodziło mu o Tomasza któryby pewnie z tego swoje wnioski wyprowadził, a nadto przyszło mu na myśl, iż nie wie w którą stronę udaje się dziewczynka. — Jego uprzejmość zwyciężyła rychło te trudności, gdyż Tomasz nie mógł nic złego myśleć o niewinnej usłudze tego rodzaju, a zwłaszcza że go nieznajoma także obchodzić zdawała się, a co się zaś tycze celu podróży, to jedno pytanie było dostateczném aby go się dowiedzieć.

„Z jak daleka? spytał z wózka po niejakim namyśle.

—Z Zinzheim, łaskawy panie! była krótka, uprzejma odpowiedź.

—Z Zinzheim? odpowiedział Horn, aj! wszak to ztąd dobre trzy dni drogi!

—Tak jest odpowiedziała dziewczynka, już też cztery dni temu jakem wyszła z domu.

I w którąż stronę udajesz się panna wśród takiéj niepogody? zapytał znowu.

—Do Memmingen, odpowiedziała."

Tomasz obrócił się po téj odpowiedzi do swego pana, jakby chciał zwrócić jego uwagę na to, że oni przecież w tę samą drogę udają się i że mogliby z łatwością zabrać z sobą tę młodą podróżnę.

Horn chociaż niepotrzebował tego napomnienia bardzo go sobie jednak życzył. Do Memmingen? mówił dalej, a to my mamy wspólną drogę, będzie mi to bardzo przyjemnie, jeżeli pannie tę utrudzającą podróż będę mógł uławić. — Wsiądź panna do mojego wózka. „O nie, łaskawy panie!" rzekła odmawiając dziewczynka, " pan jesteś bardzo dobry, ale jabym pana powalała gdyż jestem zupełnie przemokłą."

Horn nie miał chęci zważać na taką skromność; tłómaczenie zostało nieprzyjętem, i wkrótce Zuzia Majer, tak się nazywała dziewczynka, znaglona uprzejmą i miłą namową majstra, wsiadła uniewinniając się do wózka.

Teraz miał sposobność, znający się na rze-

czy majster przekonać się o delikatności swojéj sąsiadki.

Dziewczyna była córką dobrych ludzi, o tém go wszystko przekonywało. — Młodzieńcza świeżość Zuzi, delikatność skóry, skromność jéj poruszeń, wyraz jéj wesołych oczu, i czysta, piękna wymowa, to wszystko świadczyło, że ona nie należała do ludzi prostego stanu. Posiadała ona wszystkie przymioty, które panienkę czynią zajmującą; i zgoła, była tak piękną, jak sobie tylko mężczyzni życzyć mogą.

Nim jeszcze do pierwszéj wioski dojechali, Horn już dowiedział się o przyczynie podróży swojéj towarzyszki.

Zuzia straciła matkę przed dwoma latami, która z jak największą troskliwością starała się dać dobre wychowanie swéj córce. Ojciec jéj przed rokiem powtórnie się ożenił i przez to zniszczył dotychczasowe szczęście swéj córki; gdyż macocha była nietylko swarliwą lecz złośliwą i niesprawiedliwą kobiétą. Dokuczała biédnéj dziewczynie przy każdéj zdarzonéj sposobności, i oczerniła ją wkrótce tak

dalece przed łatwowiernym ojcèm i zupełnie swéj żonie oddanym, iż on także powoli stracił do niéj wszelkie przywiązanie, a nawet kilka razy wspomniał, że tak dorosła dziewczyna, która sama sobie na chléb zarobić może, nie powinna być dla ojca ciężarem. — Ta bolesna uwaga dodała Zuzi odwagi. — Po nowém przykrém zajściu z macochą, związała ona swe zawiniątko i przed czterema dniami wybrała się w drogę, aby znaleźć dla siebie w Memmingen pomieszczenie i okazać swym rodzicom, że przy mocném postanowieniu, może ona za pomocą tego co się nauczyła, utrzymać się bez ich pomocy.

Zuzia prostém opowiedzeniem swego położenia zjednała sobie zupełnie naszego poczciwego Horna. Tak silne, niezachwiane postanowienie mówiło z całéj Zuzi postaci, iż on ani na chwilę nie wątpił, aby ona w Memmingen dobrego powodzenia znaleźć nie miała. Obawiał się tylko, aby zaraz z początku z przyczyny swego niedoświadczenia na złych ludzi nie trafiła, i przez to zniechęconą nie została. Dla tego sądził, że byłoby daleko lepiéj, gdyby

on sam uczynił jéj tę małą przysługę, i w jakim uczciwym domu umieścił. Dziewczynka byłaby mu za to wdzięczną, a on z chęcią zobowiązałby sobie tę małą ładną istotę.

Przeszedł w pamięci z szybkością wszystkich swoich znajomych i krewnych, i rozważywszy osądził, iż dom pani Block, wdowy po burmistrzu miasta, najwłaściwszym był do przyjęcia miłéj jego towarzyszki. Jest to dobra, rozsądna kobiéta, przy któréj dziewczynka nauczyć się czegoś może, myślał on, i wkrótce objawił jéj swój zamiar. Zuzia rozpływała się z radości, i przepełniona wdzięcznością ucałowała kilka razy rękę dobroczynnego człowieka, którego jéj niebo w samą porę i tak niespodzianie zesłało; gdyż jak wyznała, coraz bardziéj traciła serce, pomimo swego silnego postanowienia, im bardziéj oddalała się od rodzinnego miasta.

Już był wieczór skoro do Memmingen przybyli. Horn gniewał się w duszy że Tomasz tak prędko jechał, chętnie byłby dłużéj pomówił z tą miłą szczebiotką — lecz już byli u kresu swéj drogi. — Zaiste mógł on przy-

jąć Zuzię do swego domu i rozmawiać z nią tak długo jakby mu się podobało, lecz nie chciał tego uczynić przez wzgląd na złe języki; gdyż jakkolwiek Horn był od wszystkich poważany, byli jednak sąsiedzi, którzy za nadto surowo o obyczajności trzymali, i nie zaniechaliby naganić to gdyby wdowiec młodą ładną dziewczynkę do domu swego przyjął. Nic więc na teraz nie pozostało do czynienia, jak tylko Zuzię w oddalonym od miasta zajezdnym domu pod Karpiem wysadzić, i powiedzieć jéj, aby czekała na niego, póki jéj przyzwoitego pomieszczenia nie wynajdzie.

Zuzia pożegnała swego łaskawego opiekuna z zapewnieniem najserdeczniejszéj wdzięczności i prosiła go tylko, aby ją rychło o skutku swoich starań zawiadomił, gdyż gotowe jéj pieniądze nie na długo wystarczyłyby, aby koszta jéj pobytu w gościnnym domu zaspokoić mogły. — Horn który spostrzegł w téj prośbie zakłopotanie dziewczynki, oświadczył jéj, aby się wcale nie troszczyła, gdyż on spodziewa się jeszcze tego wieczora wszystko załatwić i nazajutrz rano przynieść jéj pożądaną wiadomość.

„I jeżli nie u mojéj starej ciotki Block,„ dodał przyjaźnie,“ to wystaram się gdzieindziéj o przyzwoite pomieszczenie dla waćpanny. Co zaś gospodarz będzie żądać za żywność i mieszkanie, to się waćpanna o to nie troszcz, możesz się uważać za mojego gościa.“

To powiedziawszy, ścisnął ją uprzejmie za rękę, wsiadł do swego wózka i pojechał nadzwyczaj uszczęśliwiony do domu, z tém przekonaniem, że dobry spełnił uczynek.

Skoro uściskał, ucałował swego dobrego syna, i dowiedział się od niego, iż w czasie jego nieobecności nic nieprzyjemnego w domu nie zaszło, zmienił swe podróżne suknie, i udał się natychmiast do pani Block, która nie mało była zdziwiona, że tak rzadki gość, jéj pan siostrzeniec, jak go nazywać zwykła, w tak spóźnionéj porze przyszedł ją odwiedzić.

— Ach! co za szczęśliwy przypadek sprowadza was do mnie? „ spytała zadziwiona, zamknąwszy w aksamit oprawną biblję ze srebrnemi sprzączkami, którą z pobożną skruchą czytała, i odsunąwszy z przed świecy zasłonę.

„W istocie przypadek, a nawet może, jak go nazwaliście szczęśliwy.“ Odpowiedział Horn, siadając obok matrony, która zostawiwszy swemu miłemu gościowi miejsce po prawéj stronie posunęła się ku przeciwnemu końcowi sofy.

W krótkości odpowiedział on wesołéj staruszce swe wydarzenie w podróży i zakończył uprzejmą prośbą o przyjęcie Zuzi.

„No, zobaczemy,“ odpowiedziała p. Block rozważając, skoro Horn skończył. „Mam ja wprawdzie czynną, wierną i chętną do roboty dziewczynę, która zna wszystkie moje potrzeby, i przyzwyczaiła się do mnie, jednak aby waszemu życzeniu zadosyć uczynić, mój dobroczynny panie siostrzeńcze, a nadto aby dobrą dziewczynę, która pierwszy raz przyjmuje obowiązki, jak to powiadacie, od złych rąk ochronić, przyjmę ją wreszcie do siebie. Wszystko przyrządzę aby ona jutro w południe do domu mego wejść mogła.“

Po tém przychylnem oświadczeniu nastąpiło uprzejme zaproszenie na wieczerzą, jakkolwiek Horn wymawiał się, wesoła staruszka tak go ująć umiała, że pozostać musiał.

Białe piwo i pieczeń cielęca, potém ciasta cukrem obsypane, które tak pulchne były że się na języku rozpływały, składały wieczerzę, która pośród żartów i wesołéj rozmowy spożytą zostala. Ciotka Block żartowała, jak mogła, z pana siostrzeńca, a szczególniéj z jego ostatniego wypadku w podróży, za który dobrego Willibalda, jak go poufale nazywać zwykła, mocno strofowała. Gdyż ona w istocie z początku sądziła, że Horn przywiózł sobie tę panienkę z dalekich stron aby ją pojąć za żonę i nie chciał ją tylko zaraz do domu swego wprowadzić, lecz gdy ją ze szczerością zapewnił, że rzecz tak się ma, jak opowiedział, i że jedynie przez ludzkość zajął się dziewczynką, uspokoiła się pod tym względem i jedynie żartem, przedwcześnie powzięte mniemanie, które jednak z wielu względów nie było przykrém siostrzeńcowi, utrzymywać zdawała się.

Spędziwszy chwile wesoło rozłączyli się poczciwi krewni i już nazajutrz rano przyniósł Tomasz wiadomość oczekującéj Zuzi, która

wcale spać nie mogła z radości, sprawionéj zapewnieniem Horna iż się jéj losem zajmie, że ona już przyjętą została do domu podeszłéj i poczciwéj pani Block, i że przygotować się tylko powinna, gdyż ją w południe do nowéj jéj pani zaprowadzi.

Zuzia uradowana tak przyjemném doniesieniem, oniemal w ręce poczciwego Tomasza nie całowała, i z utęschnieniem wyglądała południa; bo że majster Horn przyzwoity dom dla niéj wyszukał, o tém nie wątpiła ani na chwilę, bacząc na wczorajsze jego postępowanie, i na radość, jaką Tomasz okazywał z tak dobrego i rychłego pomieszczenia, chwaląc zarazem z zapałem swojego pana.

W najpiękniejszym stroju, jaki miała w swém zawiniątku, — całkiem innéj postaci niżeli wczora na błotnistym gościńcu, pośród strumieni deszczu, — szła nasza ładna dziewczynka z Tomaszem ulicami Memmingen.

Dobry przewodnik pożegnał ją skoro przyszli do domu pani Block, a Zuzia nie mogła

przenieść na sobie aby go serdecznie za rękę nie ścisnąć i nie prosić, aby i nadal pozostał jéj przyjacielem.

Ze drżeniem zastukała do szerokich futrowanych drzwi, i niepewnym bojaźliwym krokiem weszła do pokoju pani Block. — Dobra staruszka wyszła na przeciwko niéj, aby ją ośmielić, zaprowadziła ją do gospodarstwa, i wkrótce tak była zadowoloną z roztropnéj i pojętnéj dziewczynki, że gdy Horn po ośmiu dniach pierwszy raz zapytał się o sprawowanie się Zuzi, nie mogła się jéj dosyć odchwalić.

„Nasza Zuzia jest czyste pilne i pojętne dziecko, i swém postępowaniem sprawi nam pewno przyjemność.“ mówiła do Horna poczciwa ciotka, który uśmiechając się słuchał tych pochwał.

I rzeczywiście ciotka prawdę powiedziała. Z każdym upłynionym tygodniem coraz bardziéj przywiązywała się do dziewczynki, i nim rok ukończył się uważała ją jakby swą własną córkę.

Tylko co Zuzia zrobiła, było dobrem, nie

mogła się bez niéj obejść, wszędzie musiała mieć około siebie dziewczynkę, i gdy p. Horu pewnego razu przypadkowo wspomniał o jéj odejściu, łzy stanęły w oczach dobréj kobiécie; gdyż ona nawet pomyśleć o tém nie chciała, aby kiedy bez swego ulubionego dziecka żyć miała. A tak Zuzia znalazła między obcem ludźmi poczciwą przywiązaną matkę i nowy dom rodzicielski, w którym żyła zupełnie szczęśliwie.

Wśród tak pomyślnych okoliczności upłynęły trzy lata; ciotka Block nie miała powodów użalać się na rzadkie odwiedziny dobrego Horna, gdyż on przychodził prawie codzień, i łatwo było uważać że go nie podeszła i zrzędna ciotka pociągała, lecz że Zuzia była magnesem, który go skłaniał do tak częstego przerywania poczciwéj kobiécie w jéj pobożném czytaniu biblji.

Dziewczynka mocno go zajęła, a czuła wdzięczność, którą mu prawie w każdéj chwili okazywała zrodziła w jego sercu nie jedno postanowienie, które objawić się wstydził.

Pewnego wieczora, gdy majster Horn i pani Block znajdowali się bez świadków, przyszły los Zuzi i konieczność obmyślenia w tym względzie stałego planu, stał się jak to już często bywało, przedmiotem ich wspólnéj rozmowy.

— Dopóki ja żyję, rzekła ciotka, biédy nie dozna, a nawet chociażbym umarła, na niczém by jéj nie zbywało, gdyż ona stała się moją córką i jéj szczęście zapewnić postanowiłam. — Lecz że to jest wolą przeznaczenia, iż dziewczęta za mąż iść muszą, myślę też teraz często, ktoby dla naszéj poczciwéj Zuzi był najstosowniejszym.

— Już ja brałam na uwagę wszystkich znajomych naszych, mówiła daléj, i spojrzała na zapłonioną twarz swego siostrzeńca, który był pewnym że usłyszy z ust swojéj ciotki imie przyszłego małżonka Zuzi,“ lecz wszystkich razem wziąwszy, nie znajduję ani jednego, któryby stosownym był dla mego drogiego dziecka, i mógł ją uszczęśliwić.

Spadł ciężar z serca majstrowi; lecz cho-

ciaż się ucieszył że narzeczony dla Zuzi nie był jeszcze uchwalonym, nie mógł jednak poskromić zawiści która nim miotała; ciotka nie zważając na jego wzruszenie, mówiła daléj.

— Wprawdzie, jednemu dałabym ją chętnie, który zdaje się być dla niéj najstosowniejszym i umiałby ją ocenić, lecz...

— No! no! Któż to jest taki? zpytał Horn niecierpliwy, z bijącém sercem.

— Nikt inny, jak wy sami, kochany siostrzeńcze! odpowiedziała ciotka.

— Jak to, — ja z mojemi 48 laty? zapytał Horn powątpiewając, lecz w duszy uradowany.

— To nic nie szkodzi! —odparła ciotka, 48 lat nie jest to przecież starość, a do tego wy jesteście dzielnym i przystojnym mężczyzną, któremu żadna dziewczyna metryki z oczu nie wyczyta. Zuzia nie ma wstrętu do was, a wy zdaje się.....

Horn miał się znowu zapłonić, gdy widział że ciocia Block tak śmiało do rzeczy przystępuje. Na szczęście, zaczęła ona, przerywając sobie saméj, przekładać tak jaśnie i dobitnie

jego korzyści z powtórnego małżeństwa, że on nie wiedząc jakim sposobem, pozbył się fałszywego wstydu, i wyznał w końcu otwarcie, że od dawna czuje przywiązanie do téj ładnéj dziewczyny, i że już nie raz w myśli sobie układał, że jeżeliby kiedy drugą żonę miał pojąć, to tylkoby Zuzia nią była; żeby z nią żył szczęśliwie o tém był przekonanym, wątpił tylko, czyby ona na to przystała. — Ciotka Block, która równie jak inne kobiéty jéj wieku, nie była wolną od namiętności swatania, chciała ukuć żelazo póki gorące; znalazła więc najkrótszy środek do zwycięzenia skrupułów swego błogiéj nadziei siostrzeńca, i zawołała Zuzię do pokoju, aby jéj po należytéj przemowie, Horna żądanie w małżeństwo w przyzwoity sposób oświadczyć.

Zuzia była jakby piorunem rażona, gdy się o tém wszystkiém dowiedziała, nie mogla ani słowa przemówić, tak była zmieszaną, tą niespodziewaną lecz może upragnioną wiadomością; kolana jéj drżały, zaledwie przytomności nie straciła.

Horn spostrzegłszy tę walkę wewnętrzną, przystąpił bliżéj.

— Może ty mi dasz odprawę Zuziu? Zapytał scisnąwszy ją z uczuciem za rękę.

Jeszcze nie mogła odpowiedzieć, — spuściła oczy ku ziemi, i dopiero gdy Horn wziął ją z przymileniem ręką pod brodę, i wyprostowawszy główkę, zapytał,“ powiedz szczerze, czy możesz być moją żoną? — upadła w jego objęcia zapłoniona, i wyrzekła zaledwie zrozumiałe“ tak jest.“

Zaledwie dwa dni upłynęły, już całe wiedziało miasto, że garbarz Wilibald Horn ma się żenić, i że z wielkiém wszystkich podziwieniem, służącą wybrał sobie za żonę.— Czyniono z tego powodu liczne, różnego rodzaju uwagi i postrzeżenia, nie jedna córka obywatelska która tajemnie rachowała na szanownego majstra zasmuciła się, i podburzała swą matkę, nic więc dziwnego że Konrad, syn narzeczonego, dowiedział się o zamiarze swojego ojca z ust kilku studentów, i miał go sobie przedstawionym w takiém świetle, że podziwienie jego zamieniło się wkrótce w urazę. — Konrad czuł się obrażonym że ojciec nie ra-

czył go choćby w kilku wyrazach zawiadomić o swym zamiarze, przez który on jak mówiono mu. widoczną stratę ponosi, i licznemi podszeptami do tego stopnia był podburzonym, że ojcu, skoro z ust jego dowiedział się o zamierzonym związku, przedstawienia i wyrzuty czynić poważył się — Z zadziwieniem słuchał Horn niezwykłéj mowy swego ośmnastoletniego syna, lecz gdy ten zaczął w końcu przywodzić wiek swego ojca, potém dotknął nawet z przekąsem stanu przyszłéj swéj matki, nie mógł już dłużéj wytrzymać i złajał surowo rozwodzącego się młodzieńca, który jednakże może nie mówił od rzeczy. Konrad był bardziéj jeszcze rozdrażnionym, nie mógł pojąć, żeby miał w swém teraźniejszém postępowaniu pobłądzić, i wreście postanowił, że ojciec jego może zrobić co mu się podoba, lecz jego jest zdaniem iż mu powtórne małżeństwo wyjdzie na szkodę, że on woli dom ojcowski opuścić niżeli żyć w nim z macochą, do któréj nie może mieć przywiązania, z powodu jéj stanu i zmartwienia, które mu wyrządziła, gdyżby to

nigdy na dobre nie wyszło.“ Horn zanadto był rozgniewanym na bezprzykładną krnąbrność dawniéj tak dobrego i uległego młodzieńca, aby go miał od tego postanowienia odwodzić, jakoż po upływie dwóch dni wyprowadził się Konrad z mięszkania ojca swego do najętego pokoju w jednéj z odległych ulic miasta. Dobrze myślący ganili młodego zapaleńca i utrzymywali, że takowe postępowanie dowodzi zanadto wiele rozumu; inni, którym Horna małżeństwo było nie po myśli, źdźbłem w oku bliźniego, przyznawali mu słuszność, i mówili bez ogródki, że Horn wyszedł już z tych lat w których zwykli się żenić rozsądni ludzie, i że to jest najniedorzeczniéj aby mężczyzna jego wieku brał sobie tak młodą kobiétę za żonę; kilku przyjaciół którzy ubolewali nad niezgodą między ojcem i synem, i obawiali się nadal ciągłych waśni i nieporozumień, starali się odwieść majstra od jego zamiaru, lecz wszystkie usiłowania był bez skutku. Sąsiadów potrząsania głową nie zrobiły żadnego wrażenia— Konrad powinienby się był postrzedz w swém nierozsądném postępowaniu i zawczasu starać się o pojednanie za-

miast przysłuchiwania się żartującym. Ojciec zaś był zakochanym po uszy, a przecież wiemy do jakich niedorzeczności miłość nie jednego człowieka jego wieku doprowadza; nadto nie chciał on za nic w świecie uledz swemu zarozumiałemu synowi, do którego żal miał tem bardziéj, iż miał przekonanie, że wszystkie namowy jego przyjaciół przez niego spowodowane były. — Z tych przyczyn, jakoteż aby się przed Zuzią nie wstydzić, odrzucił wszystkie przedstawienia. Wyznaczył dla Konrada mały zasiłek pieniężny na miesiąc, aby zapewnić jego utrzymanie, i po trzech tygodniach zawarł ślub z Zuzią, i wyprawił z taką okazałością wesele, że krewni i znajomi przyjść do siebie z podziwienia nie mogli, a po mieście Memmingen krążył nie jeden żart o téj nadzwyczajnie świetnéj uroczystości. — Mało się troszczył o to nasz nowożeniec, on w swém szczęściu małżeńskiém oczy, uszy, a nawet głowę utracił. Cóż go miał obchodzić złośliwy zazdrosny świat, —on czuł się szczęśliwym, rad był innych uszczęśliwić, a szczególniéj swoją Zuzię, i to mu się zupełnie powiodło. —

Dobra czuła istota wiedziała dobrze, jaką ofiarę jéj ten szanowny człowiek uczynił. Dla tego z wdzięczném uczuciem i troskliwością uprzedzała najmniejsze jego życzenie, baczną była na każde skinienie jego oczu, i swém niezmyśloném przywiązaniem, swą pilnością i umiarkowaniem, zapewniła szczęście Hornowi, który błogosławił chwilę jéj poznania i mądrą ciotkę, umiejącą wszystko tak ułożyć, jakoż często powtarzał: „Teraz widzę że na mnie pan Bóg jest łaskaw, gdyż mi taką towarzyszkę dał na moje stare lata.

H.

Dwa razy już obchodzili szczęśliwi małżonkowie rocznicę ślubu. — Ich gospodarstwo w pomyślnym było stanie, dom ich był rajem małżeńskiéj pomyślności, i wszędzie zazdroszczono szczęśliwemu obywatelowi jego pięknéj małżonki. — Tylko jednéj rzeczy brakowało do ich zupełnego szczęścia, lecz to zupełnie do-

syć było dla złośliwych języków. Małżeństwo ich było bezpłodne. — Już sąsiadki, które krzywém okiem na Zuzię patrzały, tłumaczyły sobie rozmaicie: — Horn, mówiły jedne, jest za stary, i to był wyrok najłaskawszy, jaki kiedykolwiek wyszedł z Trybunału za stolikiem do kawy; inne natrącały coś, że młoda pani garbarka, nie zupełnie tak żyła przed ślubem, jak to chcą w ludzi wmówić; inne znowu czyniły, na rzucone w tym przedmiocie zapytanie, swoje krytyczne uwagi i domysły, aby rzeczywiste okoliczności stanu rzeczy jak można najlepiéj wyjaśnić, nikt jednak nie umiał sobie wytłómaczyć, coraz bardziéj rozjaśniającéj się twarzy pana Horna, i codzień wzrastającéj baczności jego na Zuzię, aż gdy dla zbicia wszystkich uprzejmych sądów, które się już były po wszystkich zebraniach wieczornych rozeszły, tusza Zuzi powiększać się zaczęła, i na przekór złośliwym sąsiadkom, szczęśliwa małżonka po dziewięciu miesiącach powiła zdrową dziewczynkę, któréj na cześć ciotki burmistrzowéj imie Rozalji nadano.

Dobra kobiéta trzymała do chrztu pierwszy owoc złączonego przez nią si dła; gdyż Horn uważał sobie za obowiązek dać tę oznakę czułéj wdzięczności poczciwéj ciotce, któréj, jak on sądził, winien był całe swoje szczęście. Miała ona dla niego zawsze prawdziwe i gorące współuczucie, i pomimo wieku i ułomności przychodziła codziennie do domu jego, aby swą miłą córeczkę, dobrą radą i swém doświadczeniem wesprzeć.

To nowe szczęście wprawiło Horna w nadzwyczajną radość—z komiczną dumą chodził pięćdziesięcioletni małżonek po ulicach, i chciałby każdemu, który pierwéj z jego wieku żartował, swą radość ojcowską okazać. — Myślał on teraz ciągle jakąby swéj dobréj wiernéj Zuzi, skoro wyzdrowieje, niespodzianą uczynić przyjemność; to było koniecznem, bo inaczéj serce by jego cierpiało. — Jakoż wymyślił w końcu. — Majątek jego wynosił około 30,000 talarów, synowi, który po ślubie ojca Memmingen opuścił, część macierzysta wypłaconą została, a do ojczystéj, przez oddalenie się, prawo utracił. —

Darował więc cały majątek swéj żonie, małą część tylko wyłączając, i życzył, iżby sobie dom w Memmingen kupiła, aby na przypadek nagłéj śmierci jego, czego się można było przy jego wieku i skłonności do appopleksji obawiać, los jéj córki był zapewnionym. — Jak gdyby sam te pieniądze w podarunku otrzymał, tak był kontent, gdy oddawał Zuzi dobrze napełniony worek, w którym swój skarb przechowywał. Dom wkrótce został znalezionym, i przez Zuzię zakupionym. — Horn widząc swą przyszłość zapewnioną, porzuciwszy rzemiosło, wprowadził się do niego z małżonką, i zamierzył żyć odtąd całkiem dla swojego szczęścia.

Rózia pociecha rodziców, sześć lat już miała i coraz stawała się podobniejszą do swéj pięknéj jeszcze matki, a tém saméin pomnażała swemu ojcu słodkie wspomnienia domowego szczęścia. — Koniec lata był powodem zwykle wiejskich uroczystości w okolicach Memmingen. Horn postanowił być uczestnikiem jednéj z takowych, wraz z pewnym dawnym przyjacielem. — Zuzię i córkę wziął z sobą i wkrótce

radość była powszechną wśród różnobarwnego tłumu gości.

Z dumą spoglądał Horn na swą żonę, która wszystkie przytomne kobiéty wdziękami przewyższała. —Proszono ją kilka razy do tańca, lecz zawsze odmawiała. Gdy jednak sam Horn namawiał ją, aby do wspólnéj zabawy należała, przyrzekła parę razy wkoło przetańczyć pewnemu przystojnemu podoficerowi od konnicy, który pomimo swéj młodości, ozdobiony był już znakiem honorowym i zwrócił na siebie przez to ogólną uwagę. Wszyscy z podziwieniem patrzyli na prześliczną parę, która z wdziękiem i lekkością przesuwała się przed stojącemi w około widzami, a Horn 'a był zachwycony, że po ukończonym tańcu wezwał młodego rycerza do swego towarzystwa i prosił go ze szczeréą sercem, aby z nimi wspólną wieczerzę podzielił.

Wolf, tak się nazywał młody podoficer, nie dał się długo prosić. gdyż Zuzia była wyborną tancerką, a do tego stół jéj małżonka tak był powabnie zastawiony, iż niepodobna się było oprzéć temu przyjaznemu zaproszeniu.

Wśród wesołości i tańca nie postrzegli się nawet kiedy północ minęła, i dopiero gdy Rózi spać się zachciało, przypomniał Horn że czas jest udać się do domu.

Horn miał dosyć czasu przypatrzyć się młodemu człowiekowi, który z pochlebną usłużnością wziął z rąk matki zmordowaną Różię, gdy powracali, i dopiero przed domem szczęśliwych małżonków uśpione dziecię znowu w jéj objęcia złożył. Bardzo mu się podobał; gdyż zajmująca jego postać, dobre wychowanie, często nawet zbyt drobiazgowa grzeczność i obszerność wiadomości z któremi zręcznie popisać się umiał, potrafiły ująć każdego. — Widząc tego młodego człowieka, z boleścią wspomniał na syna Konrada, o którym już od kilku lat nie miał żadnéj wiadomości.

Zaraz w następną niedzielę kazał młodego podoficera prosić do siebie na obiad. Wolf przybył, a ujmująca postać gościa, jego grzeczność i uprzejmość, skłoniły gospodarza do ponowienia zaprosin raz na zawsze, zwłaszcza

że Zuzia nie zdawała się być przeciwną, aby w każdą niedzielę na obiad przybyć zechciał. W ten sposób zawiązała się przyjaźń, mimo różnicy wieku, między Hornem i młodym żołnierzem; gdyż Wolf umiał przyjemnie rozmowę prowadzić, był świadkiem wielu ciekawych wypadków w pierwszych latach swéj służby, przy końcu ostatniéj wojny, lecz co nadewszystko, posiadał w wysokim stopniu sztukę obchodzenia się z ludźmi i podobania się wszystkim. — Wreście Rózia czyniła go niezbędnym w domu; maleńka przywiązała się jak do brata, do dobrego zawsze ją pieszczącego żołnierza, i gdy Wolf żartem pokazał jéj pewnego razu głoski na przyniesionéj książce z obrazkami, rodzice dziękowali mu i prosili, aby udzielał początków czytania dziecku za wynagrodzeniem. Prawie obrażony Wolf odrzucił ofiarowane wynagrodzenie i oświadczył, że chętnie weźmie na siebie to miłe zatrudnienie, gdyż będzie miał sposobność choć w małéj części, okazać swą wdzięczność za tyle prawdziwych dowodów przyjaźni. —Przychodził więc co dzień równie w obecności Horna, jakoteż i podczas

niebytności jego w domu. — Dobremu małżonkowi nawet na myśl nie przyszło obawiać się złych zamiarów ze strony swego młodego przyjaciela, gdyż Zuzia nie dała mu wcale powodów do zazdrości; żeby ona miała kiedy rzucić więcéj jak przyjacielskie spojrzenie na młodego żołnierza, zdawało mu się niepodobieństwem. Wólfa odwiedziny nie zmniejszyły wcale nieograniczonéj jego ufności ku żonie, a Rózia tyle korzystała, że po kilku miesiącach już dobrze czytać umiała, a nim rok upłynął, nawet głoski alfabetu dość zgrabnie stawiać zaczęła. Pilny nauczyciel wzrastał coraz bardziéj w poważaniu rodziców, dla których jego obecność stawała się codzień bardziéj niezbędną. — Wkrótce uważany był przez nich jakby za członka rodziny, i Zuzia, gdy pewnego razu z obowiązków służby na jakiś czas oddalić się musiał, nie mogła z nudów dać sobie rady; ona tak polubiła tego młodego przystojnego człowieka, że po Hornie najmilszym jéj był na świecie.

Przenikliwy Wolf widział wzrastającą coraz bardziéj przychylność Zuzi, i cieszył się że

jak prędko i pewnym krokiem do celu swego przybliżał się. — Zuzia była w takiém usposobieniu, w jakiém ją sobie miéé życzył. Potrzebował tylko swój mądrze ułożony plan dokończyć, i to było jego niezmiennèm postanowieniem. — Udał smutek i roztargnienie, rzadko się pokazywał, i to po większéj części w nieobecności Horna; jego cała postać uległa na pozór przemianie, i swém wyrachowaném postępowaniem doszedł do tego, że Zuzia zwróciła na to uwagę, prosiła go, aby częściéj ich odwiedzał, a nawet z większém współuczuciem niżeli przyjaźni, starała się wybadać, czyli go przykre okoliczności uciskają, czyli też ich dla innego milszego towarzystwa zaniedbuje. — Wolf zadanych w tym celu przez troskliwą Zuzię zapytań, zdawał się unikać; wzdychał, udawał cierpiącego, i odwracał się do swéj uczennicy, często tylko milczeniem i spuszczonemi na dół oczami odpowiadając.

Zuzia także zmieniała się codzień. Pierwéj usłużna i przyjacielska, stala się nieuważną i ponurą, i wtenczas tylko, gdy Wolf wszedł do pokoju, twarz jéj się wypogadzała.

Pewnego dnia, gdy się bez świadków znajdowali, i Zuzanna nalegała znowu na Wolfa, aby jéj wyznił, dla czego nie tak często jak dawniéj do nich przychodzi, rzekł on nareście, smutnie głowę spuściwszy.

— Czynię to naumyślnie, i wkrótce przyjdzie czas że dom pani zupełnie opuścić będę musiał.

Zuzia zbladła jak śmierć. Jakto, pan byś miał nasz dom opuścić? powtórzyła z trwogą, i błagała go, aby jéj przyczyny téj szczególnieszéj mowy wyjaśnił. Długo dał się Wolf prosić. Czyliż nie dosyć,, zawołał nareście z ogniem, że ja już jestem nieszczęśliwym, mamże być i innych nieszczęścia przyczyną?

— Ja pana nie rozumiem! przerwała Zuzanna rumieniąc się, gdyż przeczuwała, co jéj ulubieniec chciał przez to powiedziéć. — Jednak przeczucie było dla niéj niedosyć, ona chciała — sromotnego zapomnienia swych powinności — wyraźnego potwierdzenia swych życzeń z ust jego.

— Pani mnie nie rozumiesz! odpowiedział

Wolf i z głębokiém westchnieniem mówił daléj: To szczęście twoje pani! — Kiedy ja do rozpaczy przychodzę, rzekł jakby sam do siebie ona się pyta dopiero o przyczynę moich udręczeń. I ująwszy ją za rękę, dodał. Pozwól pani abyśmy się rozłączyli! Jutro prosić będę mego pułkownika, aby mnie przeznaczył do innego garnizonu, gdyż dłużéj nie mogę przebywać w murach tego miasta, z obawy, abym się nie stał najniewdzięczniejszym człowiekiem względem mego dobroczynnego przyjaciela i jego małżonki. — Gdyż kto kocha, tak jak ja musi zostać niewdzięcznym.

— Pan kochasz? zapytała Zuzanna drżącym głosem, i zwróciła oczy na Wolfa.

— Tak jest, kocham! odpowiedział uchwyciwszy jéj drżącą rękę, — dręczony namiętnością bez nadziei kocham anioła, któryby mną pogardzał, gdybym mu odkrył boleśną tajemnicę mojego serca, jaką od pierwszéj chwili naszego poznania w méj duszy przechowuję.

Z trwożliwą gwałtownością nalegała nierozsądna na swego oczywistego zwodziciela, aby

jéj powierzył swą tajemnicę. —Po wielu prośbach skłonił się nareście, i wprawił przez to niepomną na swe obowiązki małżonkę w tak drażliwy stan umysłu i serca, że ona o swéj wierności, przysiędzę, wdzięczności, zgoła o wszystkich obowiązkach względem swego małżonka zapomniała, i stała się ofiarą z piekielną złośliwością ułożonego i wykonanego planu, przez jednego nikczemnego rozpustnika.

III.

Minęło lato, a naganne stosunki Zuzanny i Wolfa jeszcze nie ustały; owszem, codzień prawie więcéj było zgorszenia. Wszyscy odwiedzający dom Horna uważali niewierność niewdzięcznéj, tylko dobry małżonek, który ślepo zaufał wierności i przywiązaniu swéj żony, żył spokojnie w szczęśliwéj niewiadomości. Nie

zważał wcale na szyderczy uśmiech niektórych osób, gdy się według zwyczaju rozwodzić zaczął z pochwałami swéj małżonki, ani też na liczne uszczypliwe przymówki; gdyż się uważał za tak szczęśliwego, że w tych wszystkich oznakach szyderstwa, widział tylko zazdrość i nieprzychylność, starające się zawsze zaćmić w innych to, co widzą w nich dobrego. Otworzył mu nareście oczy jeden z jego przyjaciół, i jak to zwykle bywa, ten, który był piérwéj ślepotą dotknięty, widział jaśniéj niż kto inny, i wiele drobnych, niekiedy zupełnie obojętnych okoliczności i wypadków w domu, umiał sobie wytłumaczyć; gdyż nieufność i zazdrość zakorzeniły się w jego sercu, i to co pierwéj za niepodobne do prawdy uważał, miał teraz w zupełnéj oburzającéj oczywistości przed swemi oczyma. Wkrótce dostrzegł przy stole wymowne i namiętne spojrzenia, jakie Wolf i Zuzanna nawzajem sobie przesyłali, tajemne ściskania rąk, w uśmiechu szyderskie politowanie nad pozorną jego spokojnością i zaślepieniem,

a przekonanie obrzydliwéj zdrady duszę jego zgrozą napełniło.

Zpoczątku zbierał wszystkie swe siły, starał się umiarkować, powściągnąć, lecz wkrótce przemógł obrażony honor i przymusił do użycia surowszych środków. W kwadrans po odejściu Wolfa, wziął Zuzannę do swego pokoju sypialnego i z surową powagą żądał, aby się wytłumaczyła ze swego postępowania.

Występna małżonka była zpoczątku jakby piorunem rażona, lecz wkrótce przyszła do siebie i użyła całéj swéj przebiegłości, aby obudzającą się podejrzliwość małżonka uśpić na nowo. Wśród łez zaprzysięgała mu swą niewinność, i zapewniała, że tylko złe języki oczerniły ją w jego oczach, że jéj postępowanie z Wolfem niczego więcéj nie dowodzi, jak tylko przyjaźni, i że złośliwi ludzie nie mogąc nic więcéj zarzucić ich pożyciu małżeńskiemu, starali się tak piekielne nadać tłumaczenie częstym Wolfa odwiedzinom; jakoż, udało jéj się w ten sposób wmówić w dobrego męża, że wszystko było pozorem, że jéj ciągłe szczęście

domowe stało się przedmiotem zazdrości, i że dla tego ją zpotwarzoną. Skoro się rozłączyli, Horn zupełnie był uspokojony dowodzeniem i pieszczotami swéj żony, zachował żal nawet do swego starego przyjaciela, że przez zbytek swego przywiązania tyle mu przykrych chwil sprawił; lecz już nazajutrz rano, gdy Horn drzymał jeszcze, zawiadomiła Zuzanna swojego Wolfa o wszystkiem, co się dnia wczorajszego przytrafiło i zaleciła mu jaknajwiększą ostrożność. Jedno skinienie wystarczyłoby dla niego. Odgrywał swoją rolę z taką zręcznością, że Horn zaczął na nowo ufać im zupełnie. Lecz inni ludzie widzieli lepiéj i jaśniéj, a Horna przyjaciel nie mógł się dosyć wydziwić jego zaślepieniu, i zaklinał go aby chociaż raz użył podejścia, i udał wyjazd, a potém niespodzianie do domu powrócił. Horn przyrzekł zadosyć uczynić jego żądaniu szczególniéj dla tego, iż się spodziewał przekonać go o bezzasadności jego podejrzeń. Wyjechał czule pożegnany przez swą fałszywą żonę, która cieszyła się, że pozbędzie się raz obrzydłego przymusu, i przy-

rzekł za trzy dni powrócić. — Najlepszą mając nadzieje, przybył nazajutrz niespodzianie, i od nikogo niepostrzeżony do domu, właśnie gdy Zuzanna ze swym kochankiem przy wykwintnie zastawionym stole ucztując, oddawała się czułym jego pieszczotom.

Z olbrzymią siłą gwałtownego gniewu, wysadził drzwi i stanął przed strwożonemi kochankami, którzy już żadnego schronienia nie mieli. Grożąc laską, wołał głosem stłumionym przez wzburzone uczucie. Precz nikczemny, niewdzięczny zdrajco! jeżeli przez chwilę jeszcze będziesz się ociągał, to bez względu na stan twój kijem cię wypędze z mojego domu!

— Z pańskiego domu? odpowiedział Wolf z naigrawaniem się, nie mogąc inaczéj, jak tylko zapomocą bezczelności, pozbyć się swego pomieszania. — Z pańskiego domu? powtórzył. Jak widzę pan masz krótką pamięć, a dotego winem jesteś odurzony, dla tego— jedynie dla tego ustępuję panu. — Chciéj mnie pan dobrze rozumieć, że nie pańskie pogróżki powodują mnie, iż ten dom opuszczam! to powiedziawszy, śmiejąc się

złośliwie wyszedł z pokoju. — Spadła zasłona. Zuzanna stała przed swym zwiedzionym małżonkiem w całéj szpetności swego wykroczenia. — Nie żałowała ona występku, o który przekonaną została, gdyż Wolf nauczył ją gardzić obowiązkami, a ona pojętną była uczennicą; lecz owszem, postępowanie męża, który niczém był już dla niéj, do gniewu ją i wściekłości pobudzało. Zpoczątku chciała sobie ulżyć płaczem, potém czyniła mu wyrzuty, lecz gdy Horn nazwał ją wiarołomną, nikczemną zalotnicą, która niegodną jest mięszkać z nim pod jednym dachem, uchwyciła go za słowo i odezwała się z szyderstwem;

— W istocie, sądzisz, że ja na to nie zasługuję? Bardzo dobrze! to da się łatwo uskuteecznić.

Wynoś się ty niewdzięczniku, wychodź z mego domu! Poświęciłam ci moje najpiękniejsze lata, wystawiłam się na pośmiewisko całego miasta, gdyż każdy wyśmiewając się sądził, że twoje siwe włosy nie zgadzają się z mojemi czarnemi lokami, i znosiłam to cierpliwie, bo nie chciałam ci sprawiać przykrości, lecz teraz,

gdy sam mówisz, abym z tobą zerwała, gdy mi nie dozwalasz żadnéj przyjemności, nie masz względu na swój wiek i na moją młodość, — teraz nie mam potrzeby już milczeć. — Chcę się rozłączyć z tobą. Idź, gdzie ci się podoba, w moim domu mąż taki, który zapomina o delikatności i o ofiarach jakie mu uczyniłam nie powinien się znajdować. Niech sąd rozstrzygnie czy ja mam słuszność!

Horn wśród swego szczęścia nawet nie przypuszczał, aby kiedykolwiek mógł być w takiém pogrążony nieszczęściu; mało komu los tak się urągał, jak temu człowiekowi. — Nigdy on nie spodziewał się cóś podobnego usłyszeć z ust Zuzanny; stał oniemiały — cały był drzeniem przejęty, serce mu ztrętwiało, a usta konwulsyjném drganiem zdradzały gwałtowne wewnętrzne uczucie.

W niebiosach znajdziesz ukaranie nikczemna, niewdzięczna kobiéto! zawołał, — oddalił się nagle do swego pokoju, i oddał się zupełnie swéj gwałtownéj boleści.

Noc która nastąpiła po smutnych wypadkach

dnia tego, była okropną dla obojga. Każde z nich inne udręczenia cierpiało. Zuzanna widziała w prawdziwém świetle swe nikczemne, obrzydliwe postępowanie, lecz nie mogła się już cofnąć. Miłość Wolfa zakorzeniła się w jéj sercu, żyć bez niego, było dla niéj niepodobieństwem. Kilka razy wprawdzie postanowiła upaść do nóg swego męża i błagać go o przebaczenie, lecz myśl rozłączenia się z swym pięknym kochankiem stawała zawsze na przeszkodzie.

Inne były Horna cierpienia, widział on się ofiarą najczarniejszéj niewdzięczności, i przeklinał, rozciągnięty na łożu, chwilę swego ożenienia, całą noc czuwał wśród gorzkich łez boleści, lecz z nadchodzącym rankiem czuł się przygotowanym do powzięcia stałego postanowienia. Chciał jeszcze jednego użyć środka, aby swą zwiedzioną żonę, któréj już kochać nie mógł, na drogę powinności sprowadzić, a może też nawet i lepszym poruszeniom jéj serca przyjść w pomoc. Nie wiedział on jak głęboko wkorzenioną była w sercu jego żony występna na-

miętność, i dla tego udał się, skoro czas przyzwoity nadszedł, do dowódcy pułku w którym Wolf służył, człowieka znanego z poczciwości i szlachetnych uczuć, i odkrył mu cały stan rzeczy. W pół godziny opuścił go pocieszony, a nim ośm dni upłynęło, Wolf przeniesiony został do garnizonu o ośmnaście mil odległego.

Ten gwałtowny środek przyprowadził do ostateczności rozdrażnioną namiętność Zuzanny. — Drząc z gniewu powstała na ciężko strapionego małżonka, wypowiedziała mu posłuszeństwo, i oświadczyła, aby jéj dom opuścił, gdyż ona z tak nieczułym człowiekiem żyć dłużéj nie może.

Horn pospieszył, nadzwyczajnie wzruszony tym nowym dowodem nieugiętości i zepsucia, do swego przyjaciela prawnika; żądał od niego rady w swém położeniu, i prosił, aby mógł uratować na jego pszyszłe utrzymanie chociaż część majątku, który tak nierozsądnie, odurzony swém szczęściem dawniejszém, roztrwonił. Lecz ten mało mu zrobił nadziei. Dom i to co w nim się znajdowało, było Zuzi własno-

ścią; gdyż ona wszystko nabywała na swoje imie.

Horn zbladł, gdy usłyszał taką odpowiedź. Gdyż jeżeliby dom utracił pozostałoby mu jedynie kilkaset talarów majątku; tém nie mógł się kontentować. Podał prośbę do sądu; Zuzanna została zapozwaną, i po upływie sześciu tygodni, gdyż tak długo trwały postępowania sądowe, udzielono jéj upragniony rozwód i dom jako niezaprzeczoną własność, przysądzono. Koszta procesu uszczupliły Hornowi jeszcze bardziéj pozostały zasób pieniędzy, i wkrótce nieszczęśliwy małżonek, strącony ze szczytu długo marzonego szczęścia, pozbawiony wszystkich wygód, ogołocony ze wszystkiego, przeniosł się do odstąpionego sobie z litości pomieszkania, w domu swego starego poczciwego przyjaciela Branta, wylewając gorzkie łzy nad swym niezasłużonym losem.

IV.

Dobry, niegdyś tak szczęśliwy garbarz znajdował się teraz rzeczywiście w przykrém położeniu. Piérwéj wszelkim swoim życzeniom mógł zadosyć uczynić, teraz zaś, kiedy podeszły wiek, i tylu zgryzotami nadwątlone zdrowie, codziennie jego potrzeby pomnażały, długo musiał każdy grosz w ręku obracać, nim go

się wydać namyślił. Gdyż jakkolwiek się oszczędzał, widział jednak, że wkrótce wyczerpnie się jego mały zapas pieniężny, i nędzę cierpieć będzie przymuszony. Myślał często ze łzami w oczach o przeszłości, i przeklinał ten dzień, któremu pierwéj błogosławił, któren z uroczystością obchodził — dzień w którym zaczęło się jego szczęście tak w skutku swym opłakane. Nienawiść i nieufność ku ludziom zakorzeniły się w jego sercu, gdyż ta, w któréj całe swe zaufanie pokładał, którą przywiązaniem i dobrodziejstwami przywiązać do siebie starał się — Zuzia, tak go nikczemnie, tak chaniebnie zawiodła.

Lecz nie spełnioną była jeszcze miara jego nieszczęść. Pociechy poczciwego przyjaciela Branta utrzymywały dotąd jego upadającą odwagę, a wsparcie jakie od niego w najdelikatniejszy sposób odbierał, czyniło znośném jego położenie. Lecz stary poczciwy Brant umarł nagle, a Horn i tak tą stratą boleśnie dotknięty, w wielkim był kłopocie gdzieby mógł znaleźć schronienie. Wszyscy krewni stronili od

niego, ciotka Block umarła także, a więcéj nie miał nikogo. — Żeby miał żądać od dawnéj żony wsparcia i pomocy ze swego nierozsądnie utraconego majątku, było niepodobieństwem; gdyż Zuzanna w dwa miesiące po otrzymanym rozwodzie, dom sprzedała i Memmingen opuściła, aby się połączyć zapewne z oddalonym Wolfem, i z nim dzielić owoce wspólnie uknowanej zdrady. — Już blizkim był odebrania sobie życia, tylko religijny sposób myślenia wstrzymał go od tego kroku. — Po długim namyśle przypomniał sobie o swym dawnym krawcu, dobrym ludzkim człowieku, któremu w swych lepszych czasach nie jedną ważną usługę wyświadczył. Z chęcią ustąpił mu tenże małego czystego pokoiku pod strychem, i tam żył Horn w zupełném odosobnieniu, oczekując kresu swych cierpień.

Pewnego dnia gdy położenie jego tak mu stało się już nieznośném, iż zabierał się do wyjścia z tém postanowieniem, aby rzucić się w najbliższą rzekę i tam śmierć swoją znaleźć, usłyszał sztukanie do drzwi; otworzyły się —

i wkrótce wszedł do pokoju Tomasz, który cho- ciaż dawno już nie był w jego usługach, za- wsze jednak szczerze był przywiązany do swe- go nieszczęśliwego pana, i przeklinał, równie jak on, tę chwilę, w której zatrzymał wów czas swoich gniadoszów dla Zuzanny, i uważał się, według swego prostego lecz dobrego spo- sobu myślenia, za jedyną przyczynę całego nie- szczęścia. Przeląkł się dobry człowiek ujrza- wszy zgryzotami znękaną twarz, dawniéj tak pełnego siły i życia mężczyzny. Uchwycił go za ręce, całował je, i zalał się łzami.

— Czy i ty przychodzisz powiększać ciężar mego nieszczęścia? — powiedział Horn z wiel- kiém wzruszeniem, lecz wkrótce potarłszy się ręką po czole, dodał głosem łagodnym i smu- tnym, jakby namyśliwszy się chciał wynagro- dzić zbyt ostre wyrazy:,, nie bierz mi za złe kochany Tomaszu, ja zapominam niekiedy że są jeszcze dobrzy ludzie na świecie, jednakże cieszy mnie to że chociaż jeden człowiek znaj- duje się w Memmingen który bierze udział w mojém nieszczęściu.

— Jeden tylko? „ odezwał się Tomasz z uśmiechem w oczach, jakby tém zapytaniem chciał go przygotować do niespodziewanéj wiadomości. „ Ja wiem o dwóch, dodał z zapałem, i jeźli pan pozwolisz to przyprowadzę panu za kwadrans drugi.go.

Horn nalegał aby mu odkrył co chce przez to rozumieć, lecz Tomasz nie dał się nakłonić w żaden sposób.

— Dozwól mi pan téj przyjemności, powiedział po wielu wymówkach, — Ja chcę panu niespodzianą przyjemność sprawić, a z tego by nic nie było, gdybym panu teraz wypaplał. Pokrzep pan swoje siły, dodał rubasznie, wyciągając z kieszeni butelkę wina starego i stawiając ją na stole. Wypij pan za nasze zdrowie, a jak powrócimy wypijemy za pańskie.

Nie zostawiając czasu do nowych pytań Hornowi, opuścił Tomasz prędko pokój i zbiegł spiesznie po schodach nie zważając na jego wołanie. Horn silił się, aby przywieść sobie na pamięć kogoś takiego, coby mógł dzie-

nić uczucia poczciwego Tomasza, lecz nie mógł odgadnąć kogoby on miał przyprowadzić, i prawie żal mu było że go nie wstrzymał od sprowadzania nowego gościa.

—Nie mam nikogo na świecie ktoby miał do mnie przywiązanie, mówił, a trwając w swéj nienawiści ku ludziom dodał po chwili. Widowiska nie chcę robić z mego nieszczęścia dla nikogo. Któż może mieć dla mnie bez obłudy współuczucie? Ono jest tylko udaniem, aby tajemnie nasycić się nędzą tego, któremu pierwéj zazdroszczono.

Takie i tempodobne uwagi zajmowały upadłego na umyśle Horna w czasie nieobecności Tomasza; nie skosztowawszy wina, które onmu przyniósł, siedział na stołku zasmucony, głowę oparłszy na ręku, gdy znowu odgłos kroków rozległ się po schodach; wkrótce drzwi się otworzyły i młody wysoki bardzo porządnie ubrany człowiek wbiegł z pośpiechem do pokoju i zawoławszy stłumionym głosem, mój drogi biedny ojciec! ujął Horna w swoje objęcia.

Jakież pióro opisać zdoła radosną scenę ich przywitania? To tylko dodam, że równie Konrad jak Tomasz zaczeli lękac się o życie uszczęśliwionego teraz ojca, gdyż niespodziana radość odjęła na długi czas mowę tylu nieszczęściami skołatanemu Hornowi. Upadł bez duszy prawie w objęcia syna swojego, i tylko troskliwe staranie obydwóch, i przywołanéj rodziny dobrego krawca, zdołały przywrócić go do życia. Konradzie! mój najdroższy synu Konradzie! to były pierwsze wyrazy, które po upływie pół godziny wśród łez wymówił. Powoli przychodził do siebie, powoli ustępowały wspomnienia smutnéj przeszłości, boleść, żal, wstyd z oddalenia niesłusznego tak poczciwego syna, a wesołe obrazy teraźniejszości rozwijały się w jego umysle: uspione siły duszy moc swoją odzyskały, i podniósł się, aby nanowo poić się szczęściem oglądania syna swego w gorących pocałowaniach, złożonych na bijącém jego łonie.

Był to dzień radości dla tych trzech poczciwych ludzi złączonych ręką nieszczęścia.

Skoro wszyscy przyszli do siebie po takim natłoku wzburzonych uczuć, Konrad swém opowiadaniem wyjaśnił ojcu związek ostatniego szczęśliwego wypadku z poprzednią częścią jego życia. Opuściwszy Memmingen zaprzestał on oddawać się naukom, i za staraniem jednego dalekiego krewnego w Mannheim, umieścił się w kantorze pewnego znakomitego bankiera Dla pilności i wzorowego postępowania swego został wkrótce pierwszym buchhalterem, a przed dwoma latami zięciem swego pryncypała, i prowadził już teraz z dobrém powodzeniem interesa na własną rękę. Przed kilku dniami dowiedział się od Tomasza o smutném położeniu swego ojca, i wyjechał natychmiast z domu do Memmingen, aby go zabrać z sobą i mieć o nim staranie aż do śmierci.

Horn nie posiadał się z radości. — Resztę, opowiedział mu w prostéj lecz z serca pochodzącéj mowie Tomasz, który pierwéj cały czas zanosił się od płaczu i ani słowa wymówić nie mógł. Poczciwy służący mocno ubolewał nad

niezasłużoném cierpieniem swego dawnego pana i używał wszelkich sposobów, nie będąc sam w stanie udzielić pomocy, aby mu o nią u innych wystarać się. W krewnych Horna w Memmingen mało pokładał nadziei; lecz zwrócił myśl swoją na Konrada. Sądził, po bliższéj rozwadze, za bardzo podobne do prawdy że on musiał się udać do zamieszkałego w, Mannheim krewnego; a że mu się dobrze powodzi, to w jego rozumieniu, żadnéj nie ulegało wątpliwości, gdyż on zawsze miał dobre mniemanie o poczciwym chłopcu. Konrad był też pierwszym, według jego prostego, szlachetnego uczucia, który powinien użyć wszystkich sposobów aby dopomódz ojcu, bez względu na zrządzone mu przez niego przykrości. Dobry anioł, — którego każdy dobry człowiek nosi w sercu, —natchnął myśl taką poczciwemu Tomaszowi. W jak najlepszéj nadziei, zapakował swój tłomoczek, i ze szczupłym zapasem pieniężnym jaki posiadał udał się pieszo do Mannheim, aby naprzód znaleźć tam wspomnionego krewnego, gdyż od niego spodziewał się o samym Konradzie bliższą wiadomość otrzymać.:

Tak też stało się rzeczywiście.

Z wielką radością słuchał on opowiadania o szczęśliwém położeniu tego, którego szukał i nie piérwéj udał się na spoczynek aż go znalazł, i dał wiadomość o położeniu ojca.

Stary Horn usłyszawszy to, głęboko był wzruszony. — Szlachetny poczciwy chłopcze! zawołał ująwszy go za rękę, a drugą ręką ocierając łzy wzruszenia z powiek swojej, czemże ci się odpłacę za tyle wierności i przywiązania? Ty jesteś moim przyjacielem, i zostaniesz nim aż do zawarcia powiek moich; gdyż bez twego przywiązania zginałbym podobno w nędzy. Potem uściskał znowu swego syna, i prosił, aby mu przebaczył dawniejsze jego postępowanie, i nie odpychał go od siebie dla tego że tak nieszczęśliwym został.

To wszystko było Konrada najgorętszém życzeniem. Nosił on ojca, że tak powiem, na rękach, i po kilkodniowym pobycie w Memmingen powrócił z nim do swego domu. Wkró-

tce nieszczęściami skołatany starzec, czuł się w wesołém gronie rodziny syna swego tak szczęśliwym, że upadły na siłach umysł jego znowu zaczął się odżywiać, i siły życia widocznie powracały.

V.

Pięć lat upłynęło od dnia tego, w którym syn i ojciec połączyli się po długiem niewidzeniu. W pamięci Horna, uszczęśliwionego miłością Konrada i jego rodziny, przykre wspomnienia z nieszczęśliwych czasów, zatarły się powoli; o Zuzannie, — która nabywszy wiejskie gospodarstwo w odległéj okolicy, uwolniła

Wolfa z wojskowéj służby, i zaślubiła go, nie myślał już wcale; czasem tylko myśl o Ró-zi, tém drogiem dziecięciu swéj nieszczęśliwéj miłości, boleśnie raniła jego serce, i często pragnął dowiedzieć się, jaki był los tego dziec-ka. Lecz obraz niewdzięcznéj żony, któréj Rozalja życie była winna, stawał mu natych-miast przed oczyma, obudzając gorszkie uczu-cia, i wstrzymywał go od tego życzenia tak dalece, że w końcu naumyślnie unikał wszel kiéj myśli o swéj córce. A tak aż do téj chwili żył bardzo spokojnie; przyszedł zupeł-nie do zdrowia, i tak dalece sił nabrał, iż to-warzyszył zawsze swemu synowi i Tomaszowi w odległych przechadzkach po okolicach Mann-heimu.

Wesoły maj powrócił znowu. Pola i lasy okryły się miłą zielonością i kwiatami, słońce świeciło pięknie, a powietrze tak było czyste i balsamiczne, iż każdy opuszczał ponure mury, aby cieszyć się poza miastem odradzającą się naturą.

Konrad obchodził co rok dzień połączenia swego z ojcem; małą domową uroczystością;

rocznica ta znowu się przybliżała. Tym razem postanowił na wsi ją obchodzić. W pewny piękny dzień majowy, wyjechał on ze wschodzącém słońcem wraz z ojcem i całą rodziną do odległego o kilka mil Ginscheimu. Tomasz, któremu wszyscy dla dowodów wierności i przywiązania nadali prawa członka familji, z uśmiechem na twarzy, kołysał się wygodnie na koźle, tak jak dawniéj w Memmingen, gdy był prostym sługą garbarza Horna; gdyż, jak mówił, on był dla niego najwłaściwszém miejscem. W południe przybyli już do kresu swéj podróży. U znajomego dzierżawcy, z którym Konrad miał stosunki, czekał na zgłodniałych wybornie przyrządzony obiad, który spożyli wśród miłych wspomnień i czystéj radości. Po obiedzie wyszli na przechadzkę w piękną okolicę nad brzegiem Renu położoną, gdzie sąsiednie zamki, i tu i owdzie porozrzucane ładne wioski widok uprzyjemniały.

Wesoło skakały dzieci obok swych rodziców miłą rozmową zajętych, i zrywały kwiaty z poczciwym Tomaszem, który w przyzwoitém od-

daleniu paląc swój tytoń szedł za towarzystwem.

Wesoła rozmowa przechadzających się przerwauą została nadzwyczajnym widokiem. Była to kobiéta w ubogiém ubranu która pochyliwszy głowę szła wolnym krokiem ze wsi; złożywszy ręce padła na kolana w śród pola, i gorąco modlić się zdawała. Tomasz pierwszy postrzegł szczególne postępowanie téj ubogiej która zerwała się w kilka minut potém i biegła do blizko będącej rzeki. Zwrócił na to uwagę Konrada, ten nie mówiąc nikomu o swym zamiarze, skręcił śpiesznie do brzegu z niespokojnym sługą, nie spuszczając z oka kobiéty. Lecz skoro spostrzegła ona że ją ścigano, rzuciła się z trawy, na któréj była powtórnie uklękła, w szumiące bałwany rzeki. Konrad i Tomasz wołali o pomoc, a reszta towarzystwa przybiegła z krzykiem, aby pierwszego, który zdjąwszy śpiesznie surdut, miał zamiar jako zręczny pływak rzucić się na pomoc nieszczęśliwéj, wstrzymać od tego zamiaru; tymczasem Tomasz pobiegł do wsi po włościan. — Konrad nie dał się wstrzymać, chodziło tu o życie

ludzkie, a on ufał swoim siłom, że je z bałwanów wyratować potrafi: spiesznie pobiegł tratwą, usiłując z poruszenia wody odgadnąć, gdzieby nieszczęśliwa znajdować się mogła, i jednym dobrze wymierzonym skokiem zanurzył się w wodę. W kilka sekund dosięgnął już tę ofiarę dobrowolną śmierci, i wszystkich swych sił używał aby mógł się wydobyć z porywającego nurtu rzeki. Przy swém największém wysileniu zaledwie utrzymać zdołał się nad powierzchnią wody, gdyż nieszczęśliwa ofiara, uczepiwszy się silnie, tamowała jego poruszenia. Szczęściem nurt rzeki, rozdzielony ukrytą wyniosłością łoża, skierował do brzegu zuchwałego pływaka, którego siły słabnąć już zaczęły. Horn pospieszył natychmiast w to miejsce, gdzie on miał wyjść na ląd, i z wielką trudnością wydzwigał zemglałą już kobietę, przy pomocy Konrada, który, skoro sam się wydostał na brzeg, upadł na kolana wycieńczony na siłach. Pozostała rodzina przybyła też wkrótce

cieszyła się szczęśliwym czynem Konrada; gdy nagle radość ich przerwaną została krzykiem starego Horna, który ciągle wyratowaną kobietą był zajęty. „Wielki Boże!“ zawołał, upuścił zemglałą na ziemię i uciekał jakby przez widziadła ścigany. Wszyscy pospieszyli za nim, zapominając o wyratowanéj kobiécie, i dowiedzieli się wkońcu po wielu uczynionych pytaniach, że tą nieszczęśliwą była Zuzanna, jego dawna małżonka.

Wszyscy nadzwyczaj byli zdziwieni tym szczególnym wypadkiem, nawet zwykle tak przytomny Konrad pewnego przeciągu czasu potrzebował, aby mógł zebrać myśli. Ktokolwiekbądź jest tą nieszczęśliwą, zawołał po kilku sekundach, ratunek skończyć należy. Pobiegł spiesznie znowu do rzeki, a że w tym samym czasie przybył także doktór ze wsi, i ludzie których Tomasz na pomoc sprowadził, nieszczęśliwa wkrótce do życia przyprowadzoną została.

„Zanieście ją do jéj mieszkania,“ prosił Konrad przytomnych wieśniaków, skoro Zuzan-

na okazała pierwsze znaki życia. Lecz doktór oświadczył, iż ona nie ma wcale mieszkania, gdyż wierzyciele wypędzili ją z domu i gospo- spodarstwa. „Pan postępujesz po ludzku“ mówił dalej gdy wieśniacy na prośbę Konrad a nieśli osłabioną kobiétę do zajezdnego dom u i całe towarzystwo powracało do wsi, „lecz o- na prawdziwie nie zasługuje na to, żeś pan dla niéj swe życie narażał. Patrz pan tylko z ja- kim wstrętem zajmują się nią wieśniacy. A nawet nie czyniliby tego, gdyby nie przez wzgląd na prośbę nas obydwóch, gdyż jak nam wiadomo z ust godnych wiary, ta niewiasta za- pomniawszy o Bogu zniszczyła zdradziecko swe- go męża i dobroczyńcę, aby zaślubić nikcze- mnego zwodziciela. Jej teraźniejszy los jest słusznem zrządzeniem nieba. Drugi jéj mąż, przez swą lekkomyślność i namiętność do gry i zabaw zniszczył ją zupełnie. — Czternaście dni temu zaskoczyła go śmierć wśród rozpusty, a wierzyciele nie mogąc odebrać swych pienię- dzy od pozostałéj wdowy, wygnali ją zdomu i gospodarstwa. Wszyscy oniemieli usłyszawszy

to opowiadanie doktora. Stary Horn wzruszony wzniósł oczy ku niebu, — dopiéro gdy do wsi powrócili przemógł na sobie iż zapytał się czy nieszczęśliwa niewiasta ma familję?

— Tak jest, była odpowiedź, ona ma córkę z swego pierwszego męża: lecz gdy jéj drugi mąż, powszechnie nienawidzony Wolf, często po pijanemu źle się obchodził z matką i dzieckiem, i tę niewinną małą istotę tak prześladował, że widocznem było iż śmierci jéj pragnął, pastor tutejszy, poczciwy człowiek, ulitował się i wziął dziewczynkę do siebię. Wyrosła ona już teraz na piękną panienkę, jest łagodną i dobrze wychowaną jak tylko sobie życzyć tego można.

Tymczasem przybyli do zajezdnego domu Horn oddalił się z swym synem do osobnego pokoju aby się z nim naradzić. Skutkiem téj narady było postanowienie, aby Zuzannę, skoro przyjdzie do zdrowia, wraz z córką wziąść do miasta, i tam mieć o nich staranie.

Horn powrócił natychmiast z familją swego syna do Mannheim, a Konrad wydał jeszcze niektóre rozporządzenia względem Zuzanny

udał się do pastora aby mu oświadczyć życzenie swego ojca, zabrania Róży wraz z matką do miasta. Prosił go zarazem aby zachował w tajemnicy przed wszystkiemi stosunki, jakie między Zuzanną i jéj córką a ojcem jego zachodzą.

Z niechęcią rozstał się pastor ze swą wychowanką: jednakże prawa ojca były mocniejsze. Nadto widział on iż w lepsze ręce się dostanie, niżeli te, z których ją odebrał, i dla tego oddał miłą dziewczynkę, która z trwożliwém zadziwieniem słuchała wiadomości o zmianie swego położenia.

Skoro Konrad wynajął małe mieszkanie w mieście i wszystkiemi wygodami zaopatrzył sprowadził do niego Zuzannę wraz z córką. Tak niespodziewane dobrodziejstwa wprawiły obiedwie w niemałe podziwienie; a gdy się dowiedziały, że sprawcą ich jest szlachetny wybawca Zuzanny, okryły rękę jego pocałowaniami.

Konrad oddał im ich małe gospodarstwo. „Wszystko co pani tu widzisz, służyć ma ku jéj i córki wygodzie. Będziesz pani odbie-

rać z pewnych rąk co miesiąc 40 talarów na swoje potrzeby. Zajmij się pani wychowaniem swéj córki i nie staraj się dowiadywać o nazwisku swego dobroczyńcy.

To powiedziawszy odszedł. Zuzanna była nadzwyczaj wzruszona. Napróżno starała się odgadnąć, ktoby mógł być tym wspaniałomyślnym opiekunem, który ich we wszystko, co sobie życzyć tylko mogli, zaopatrzył, a nadto jak to po otwarciu małéj szkatułki spostrzegła summę 200 talarów z karteczką na zaspokojenie nieprzewidzianych potrzeb, pozostawił.

Żyła odtąd całkiem dla Rózi, którą z niewymowną radością znowu przy sobie widziała. W końcu każdego miesiąca przychodził Konrad aby się dowiedzieć o ich zdrowiu, i oddać zapewniony zasiłek.

Pewnego razu, gdy już kilka podobnych miesięcznych odwiedzin przeminęło, spostrzegła go jedna z mięszkających w tym domu kobiét Skoro wyszedł, wzięła ona na stronę Zuzannę, i spytała się z złośliwą ciekawością i znaczącym uśmiechem czyli młody pan Horn dla

niéj czy dla jéj pięknéj córki przychodzi. —Zuzanna nigdy jeszcze nie słyszała nazwiska tego młodego człowieka. — Serce jéj doznało boleśnego wzruszenia. Pytała się o bliższe wiadomości względem niego, a gadatliwa sąsiadka opowiedziała jéj ze wszystkiemi szczegółami wszystko to, co nasi czytelnicy wiedzą już o Konradzie i jego ojcu.

A tak Zuzanna dowiedziała się komu była winna tak wygodne zaspokojenie swych potrzeb. Dobrodziejstwa Horna były dla niéj ciężarem; i sama uważała to za karę niebios, że ten człowiek, którego tak nikczemnie oszukała, którego prawie do żebractwa przyprowadziła i od którego jedynie nienawiści i pogardy spodziewać się mogła, wspierał ją tak szczodrobliwie i bezinteresownie w jéj zasłużonéj nędzy. Z płaczem odkryła wszystko swéj córce, skoro pierwsze najgwałtowniejsze wzburzenie uczucia przeminęło, niewyłączając najmniejszych okoliczności, i wziąwszy żal do serca, modliła się odtąd codziennie wraz z niewinném dzieckiem, o błogosławieństwo i szczęście dla wspaniałomyślnego Horna.

Prawie co dzień był on przedmiotem ich rozmowy, i dla tego wzrastało w dziecinném sercu Róży coraz bardziéj gorące życzenie, aby mogla poznać swojego ojca. Lecz bez zezwolenia młodego Horna nie mogla się tego spodziewać. Z większą niż kiedykolwiek niecierpliwością oczekiwala ostatnich dni miesiąca i skoro Konrad przyszedł nareście, błagała go z ujmującém przymileniem i uległością siostry, aby chciał jedynéj prośbie zadosyć uczynić. Konrad przyrzekł, lecz zaledwie zdołał ukryć swe zadziwienie, gdy Rózia prosiła, aby jéj wolno było chociaż raz ujrzeć swojego ojca, skoro z nim mówić nie może. Młody Horn prawie groźne spojrzenie rzucił na Zuzannę; lecz gdy ona opowiedziala jakim przypadkiem tajemnica ich wspaniałomyślnego dobroczyńcy odkrytą została, ułagodził się Konrad i przyrzekł miléj Rózi, którą on w duszy jak swą siostrę uważal, zadowolić jéj życzenie.

— W przyszłym miesiącu, mówił, podaje się do tego najlepsza sposobność, gdyż w tym miesiącu przypadają urodziny ojca mojego. Ob-

chodzić będziemy małą uroczystość, podczas któréj każda osoba mojéj rodziny złoży mu dar jakowy; możesz panna umieścić się pomiędzy niemi i oddać także wiązanie swéj własnéj roboty; lecz nie zdradzaj się panna, dopóki on do tego przygotowanym nie będzie.

Po odejściu Konrada, z zapałem zajęła się Rózia robotą dla swojego ojca, którą nawet przed matką w ukryciu chowała. Wkrótce nadszedł dzień oczekiwany. W poprzedzający wieczór odwiedził ją Konrad, i oznajmił aby się miała w pogotowiu, gdyż nazajutrz bardzo rano po nią przyszle.

W dniu uroczystym rano zgromadzeni byli wszyscy w pokoju poprzedzającym sypialnią starego Horna. Dzieci pałały chęcią złożenia dziadkowi swych darów; nareście zajechał przed domem pojazd, i w kilka chwil potém, weszła Rózia w grono rodzinne, z rumieńcem miłego pomieszania na twarzy.

Wszyscy zdziwieni byli obecnością pięknéj

nieznanéj dziewczynki, lecz jedno skinienie Konrada, który dnia tego pierwszy raz oświadczył że ta dziewczynka jest jego siostrą, zjednało wkrótce Rózi uprzejme przyjęcie.

Konrad wszedł natenczas ze wszystkiemi do sypialnego pokoju swojego ojca, który zupełnie o tém zapomniał, że to był dzień jego urodzin. Starzec cieszył się prawie jak dziecko, gdy najstarszy z jego wnuków, ładny sześcioletni chłopczyk powiedział kilka tkliwych wierszyków, w których mu życzył szczęścia i o łaskawe przyjęcie swych małych podarunków upraszał. Prawdziwe szczęście błyszczało w oczach starego Horna, skoro go wszyscy otoczyli, i z serdeczną rodością swe wiązania składali. I Rózia także przyszła i złożyła ze ściśniętém sercem delikatnéj roboty ekram, w środku którego znajdowały się dwie ręce jakby proszącéj osoby, wieńcem z fijałków i niezapominajek otoczone, z napisem „przebaczenia.“

Ten obraz zajął mocno uwagę starca; z ciekawością spojrzał na oddającą, lecz w téj

chwili cofnął się z krzykiem, gdyż zdawało mu się że widział przed sobą Zuzię w téj postaci, w jakiéj pierwszy raz ją poznał. „Co to znaczy?“ zapytał, skoro przyszedł do siebie. „Kto ty jesteś miłe dziecię? Czy także należysz do familji?“

Rozia chciała się już rzucić na szyję pytającemu Hornowi, lecz Konrad skinął na nią, aby się zachowała spokojnie, i oświadczył po niejakiém przygotowaniu niespokojnemu starcowi, że swą córkę ma przed sobą. Horn nie mógł już dłużéj powściągnąć się: „Róża, moje drogie dziecię!“ zawołał, pochwycił w swe objęcia płaczącą z radości dziewczynkę, i przycisnął ją z zapałem do serca.

Dopiéro na wieczór mogła Rózia opuścić uszczęśliwionego ojca. O matce nie mówiono wcale; gdyż Rózia obawiała się ztąd zmniejszenia radości starca, a Horn sam wszelkiego unikał wspomnienia.

Częściéj odwiedzała teraz dziewczynka swojego ojca, który ją z przyjemnością widział obok siebie, a nawet często sam posyłał po nią

służącego, niekiedy zostawała ona przez kilka dni przy rodzinie Konrada, która ją szanowała i kochała. Powoli wstręt Horna do Zuzanny znikać zaczął, myślał o niéj z większą spokojnością i bez boleśnego wzruszenia, a nawet wkrótce przyszło do tego, że Rózia mogła mu o swéj matce opowiadać, jak dalece ją przez swą wspaniałomyślność szczęśliwą uczynił, jak się modli z nią za jego szczęście, ile ona żałuje za swe błędy, zgoła wszystko to, co tylko przywiązanie do obojga podało jéj na myśl.

Gdy Zuzia teraz prawdziwie wzorowém postępowaniem zatrzyć zdołała swe dawniejsze błędy, i zyskała sobie już dobre imie, równie i w sercu Horna wkrótce powstało życzenie, aby tę, która niegdyś przez niego z takiém poświęceniem kochaną była, a teraz przez wzgląd na Rózię na nowo szacunku nabrała, mógł chociaż raz jeszcze oglądać; lecz życzenia tego nie śmiał objawić. Konrad to odgadnął, a nadto wiedział od Rózi, że się jéj ojciec kilka razy pytał, czy jéj matka nie obja-

wiła kiedy chęci widzenia go, uprzedzając jego życzenie zapytał się pewnego razu czyby nie życzył sobie oglądać matkę swego ostatniego dziecka.

Niespodzianie zagadniony starzec wstydził się z początku powiedzieć — tak jest, lecz gdy Konrad kilkoma stosownemi wyrazami dodał mu odwagi, skłonił się wreszcie i polecił dziewczynce, aby następnego dnia z sobą matkę swą przyprowadziła.

Nazajutrz rano przyszła Rózia sama i przyniosła tylko list od Zuzi następującéj treści..

Mój szlachetny dobroczyńco!

„ Wasze zaproszenie, jak z jednej strony napełniło mnie radością, tak z drugiéj, głęboko duszę moją wzruszyło; wasza dobroć posłużyła by tylko do tego, aby moje dawniejsze postępowanie stało się, bardziéj obrzydliwe w oczach moich. Nie podobna jest abym stanęła przed obliczem waszem, wstyd o śmierć by

mię przyprawił, gdyż niegodną jestem być w waszéj obecności. Pozbawiłam was na długi czas pokoju i ufności ku ludziom. Pozwólcie mi przez resztę mojego życia pokutować za popełnione błędy i nie okazujcie więcéj pobłażania, niżeli to na obrażonego szlachetnego męża przystoi. Żyć z wami w jedném mieście, lecz was nigdy nie oglądać, niech to będzie mojem ukaraniem!

Zuzanna.

Długo Horn trzymał list w ręku, nareście wypogodziło się jego czoło, i spokojna wesołość rozlała się po całém jego obliczu. „Tak jest! mówił do siebie po niejakiéj chwili uradowany, ona złą zupełnie nie była, gdyżby nie napisała do mnie w ten sposób, zwróciwszy potém mowę do Rózi dodał łagodnie: Powiedz swéj matce, że list ten powiększył mój dla niéj szacunek. Przebaczam jéj wszystko, i nie będę więcéj starał się ją widzieć.

Dotrzymał swéj obietnicy. W kilka miesięcy później odniesiono jego zwłoki na miejsce

wiecznego spoczynku. Uderzenie krwi do głowy było przyczyną nagłéj jego śmierci. Cała familja szczerze go żałowała, lecz najbardziéj ze wszystkich żona Zuzanna. Teraz mogła ona być przy swoim dobroczyńcy. Prawie codziennie modliła się wraz z córką na jego grobie, i długo jeszcze potém, kiedy już Rózia została małżonką syna pastora z Pepinheim, który ją w domu ojca swego pokochał, widziano co wieczór bladą niewiastę pielęgnującą kwiaty na grobie Horna wśród łez i modłów. Spokojny wzgórek, ozdobiony pięknemi kwiatami jéj ręką sadzonemi, zwracał uwagę każdego, kto ten cmentarz odwiedzał.

*
* *

Przyjaciel mój, który mi opowiedział wydarzenia, będące osnową téj powieści, wstąpił kilka lat temu, do tego miejsca wiecznego spoczynku. Grobu starego Horna, którego znał osobiście, nie mógł on znaleźć. Nareście wskazał mu go grabarz. Pięknych kwiatów nie było już jak dawniéj, znalazł tylko samotny wzgórek pasożytném zielem porosły. Spytał

się o przyczynę tego, odpowiedziano mu że pilna ogrodniczka umarła już także. „ Ona spoczywa obok niego! rzekł grabarz, wskazując na pomnik, który z początku uszedł uwagi mego przyjaciela, i udał się do swéj pracy. Był to płaski marmur z alabastrową tablicą na środku, na któréj znajdowały się dwie ręce złożone, jedna męzka, druga niewieście!, z napisem „ Połączyli się!“

JASKUŁECZKA.

P. z Warszawy do A. w U.

Niewiany ptaszku, luba jaskułeczko,
Kiedy z lubością na ciebie spoglądam,
Jak na mym ganku uścielasz gniazdeczko,
Co czuję nie wiem, i nie wiem co żądam.

* * *

Zazdrości godne twoje przeznaczenie,
Samczyk troskliwy twą pracę podziela,
Pisklętom w dziobku znosi pożywienie.
Tobie i dzieciom pieszczoty udziela.

* * *

Patrzę na ciebie i w wieczór i z rana,
Jak dzieci tulisz skrzydełki obiema,
Wzdycham w samotnych myślach zadumana.
Ach czemuż, czemu łubego tu nie ma.

* * *

Matuzalowe z nim przeżywszy lata,
Zdałoby mi się żem chwilę przeżyła,

Lecz w oddaleniu od niego, od świata,
Chwila, wiekiemby Matuzala była.

* * *

Daj mi twych skrzydeł ptaszyno nadobna
Lub daj ich jemu, a jeśli podobna,
Twym lotem niech nas łączy przeznaczenie,
Tego ja pragnę, to moje westchnienie!

A. w U. do P.

Jakże ci zajrzę luba jaskułeczko,
Ty na nią co dzień spoglądasz,
A na jéj ganku usławszy gniazdeczko,
Masz wszystko czego pożądasz.

* * *

Zdala mnie od niéj trzyma przeznaczenie,

Nikt méj tęsknicy nie dzieli,
Bawisz ją, dzieciom znosząc pożywienie,
Mnie bez niéj nic nie weseli.

* * *

Gdy ją zobaczysz, czy w wieczór czy z rana,
Pociesz ją twemi pieszczoty,
Niechaj nie wzdycha i niech zadumana
Zbytniéj nie cierpi tęsknoty,

* * *

Samczyku! żartkie twoje rozpuść lotki,
Przyleć do mojéj zagrody;
Robaczków dzieciom, a dla méj pieszczotki.
Dam méj czułości dowody.

* * *

Dam ci robaczków i czule upieszczę,
Ty mi powiesz jéj zabawy,
Ja pod skrzydełkiem na sercu umieszczę,
List mały — ale ciekawy...

* * *

Ty jéj go oddasz, nadto jestem pewny,
Bo znasz co czułe kochanie,
Ona przeczyta mój listeczek rzewny,
I może wzdychać przestanie.

A, M.

DWÓCH TRAPISTÓW.

OKNO.

I.

W pięknym dniu miesiąca Października 181.. roku, mularze zajęci byli naprawą dachu pewnego starożytnego domu przy ulicy Królewskiéj w Amiens. Szeroka tarcza herbowa z marmuru, umieszczona nad wysokiemi drzwiami głównemi, kamienne ławki wzdłuż murów, zewnętrzne schodki z obu stron głównego

wnijścia, wszystko zgoła, nawet najdrobniejsze ozdoby architektoniczne, nadawały temu pomieszkaniu widok wspaniały i starożytny. Jednakowoż nieszczędząca niczego ręka czasu, pozostawiła i na niem swoje ślady; w niektórych miejscach brak było kilku kamieni, gdzie niegdzie mury były uszkodzone, dachówki popękane, i może bydź że te lekkie ślady zniszczenia przyczyniały się do wrażenia, jakie ten stary dom czynił na patrzących. Z tém wszystkiem baron de Lostranges dumny był ze swego pałacu i powodowany wspaniałą pogardą dla zniewag czasu, zaledwie zgodził się na to, aby robotnicy kazić mieli przez kilka dni swą obecnością dom jego naprawiając dachy.

W chwili w któréj zaczyna się nasza powieść młody mularz siedział na pochyłości dachu, nogi mając oparte na rynnie uginającéj się pod jego ciężarem, wystawiony co chwila na niebezpieczeństwo upadnięcia na bruk podwórza; umysł jego musiał bydź bardzo zajęty, bo nie zwracał wcale uwagi na swe niebezpieczne położenie. Wyjaśniemy przyczynę tego szczególniejszego roztargnienia.

Dach na którym siedział młody robotnik pokrywał prawe skrzydło budowli, zamieszkałe przez pannę Genowefę de Lostranges; w lewem skrzydle znajdowały się pokoje barona, i w sypialnym pokoju jego w téj chwili otwarte okno, znajdowało się wprost tego, nad którém siedział nasz robotnik. Mógł więc dokładnie widzieć ten pokój, i właśnie przypatrując się wszystkim drogim przedmiotom, wpadł on pomału w dziwne marzenia, i zupełnie o świecie materjalnym zapomniał.

Przez kilka chwil znajdował się już w takiem położeniu, gdy drugi robotnik, tak dalece podobny do niego, iż można ich było bez namysłu uważać za braci, usiadł naprzeciwko niego w ten sposób, iż mógł przypatrywać się pokojowi panny de Lostranges, którego okno równie było otwarte. I on także zajęty był mocno wpatrywaniem się do tego pokoju; gdyż widział w nim swą matkę, z powołania szyciem trudniąca się, która pracowała dla panny Genowefy nieobecnéj natenczas w pałacu.

Byli to więc dwaj bracia, bliźnięta, których

podobieństwo prawdziwie dziwném było; lecz o ile podobni byli co do twarzy, o tyle różnili się pod względem duszy. Jak daleką jest prawda od prawdopodobieństwa, równie wielka różnica zachodziła między jednym a drugim. Ryszard, to jest ten który przypatrywał się swéj matce, żył sercem; drugi Walenty, który zaglądał do pana de Lostranges, żył myślą; pierwszy kochał z namiętnością, drugi nie kochał wcale; pierwszy był tyle poczciwym, iżby mógł umrzeć z głodu, drugi pożerał oczami bogactwa barona. Obadwa obdarzeni byli wysokiemi zdolnościami umysłu, i brak tylko było cokolwiek edukacji, aby ci dwaj chłopcy zrodzeni w najniższéj klasie towarzystwa, błyszczeć w niem mogli; lecz nędza towarzyszyła im od urodzenia, ona ich wykołysała, ona zmusiła matkę, aby ich przeznaczyła na wyrobników pierwéj niżeli ich siły dojrzały. Z szyją wyciągniętą, oczami w leś pionemi, napół otwartemi usty, mówił Walenty sam do siebie: gdybym miał małą cząstkę ukrytych tutaj bogactw, zdaje mi się, że za

pomocą wyrachowania i dumy, które zajmują moją głowę, mógłbym wielkich rzeczy dokazać. Gdyż jak mi się zdarzyło czytać niekiedy, w Paryżu robią niezmierne majątki zręcznością i odwagą; lecz trzeba mieć coś na początek, cośkolwiek do powierzenia losowi, a ja, ja nie mam nic.... Ach! Czuć się wyższym od tylu bogaczy i zpanoszałych, mieć w sobie tyle żywiołów przyszłego szczęścia, majątku, chwały, i tak gnić w błocie — to rzecz okropna! — Za chwilę skończy się godzina przeznaczona na śniadanie, a ja pójdę nosić wapno tym bydlętom które teraz są jeszcze w szynku, ja!.... gdy tutaj przed memi oczyma nieprzeliczone mnóstwo bogactw, obrazów, klejnotów, złota!.... Gdybym poszukał pana de Lostranges, gdybym starał się mu opisać to wszystko co ja czuję, gdybym mu opowiedział do czego ja jestem zdolny, gdybym..... to śmieszność! Onby mię nie przyjął albo wziął za szalonego; a jednak gdybym chciał, łatwoby mi było dostać się po rynnie do tego pokoju, i wziąść tam co mi potrzeba, aby sprobować szczęścia w Paryżu; tak

jest, lecz nazwanoby to kradzieżą, zbrodnią, ścigonoby mnie... Znajduje się tysiąc środków ucieczki, poszedłbym do Paryża, zmieniłbym nazwisko. Ach gdybym chciał!... widzę ztąd na kominku jakąś rzecz która się błyszczy, to może jest brylant; ja wiem że on musi bydź wielkiéj wartości. Ach przeklęta pokuso!

Takie myśli zajmowały młodego robotnika Walentego; a że one były tak śmiałe i występne, wnosić można, iż dawno już zrodzić się musiały w jego umyśle, że on musiał bydź do nich przyzwyczajony, i że nie pierwszy raz zapewne siadał naprzeciwko okna barona.

Smutny i spokojny Ryszard, z łokciami wspartemi na kolanach, czołem na rękach, przypatrywał się ciągle swéj matce, która pracowała pilnie nie podnosząc głowy, i w duszy swéj, niedostępnéj wszelkim złym myślom, mówił. Ach! tak jest, musi bydź drugie życie dla wynagrodzenia nieszczęść téj kobiety. Te anielskie dusze które jak moja matka odbywają pielgrzymkę ziemską obciążone większém brzemieniem cierpień, niżeli to najsil-

niejsza odwaga znieśćby mogła, są dowodami żyjącymi, z nieba zesłanemi, nie zbitemi, przyszłego życia. Któżby ośmielił się pomyśleć że życie tak pełne boleści jak mojéj matki, pozostać może bez nagrody?.., Bóg jest sprawiedliwym, on ją wynagrodzi, lecz i ja także, jeżeli nie znajdę w dalszym ciągu mego życia osłody tylu cierpień, które w tak młodym wieku już doznałem, obfitego wynagrodzenia spodziewać się mam prawo. W ośmnastym roku życia rzuconym być w pośród ludzi takich, których świat cywilizowany odpycha od siebie, być jego narzędziem, dla zarobienia kilku groszy na utrzymanie swéj matki, niczego nie spodziewać się od przyszłosci, a przy tem mieć w swéj duszy przekonanie wyższego przeznaczenia!.... I na domiar nieszczęścia, uczuć wkradającą się do serca miłość świeżą, czystą, która się tak silnie w niem zakorzeniła, że bez niéj żyć bym nie mógł.

Ach! to są okropne cierpienia!... Biedna matko! obyś nigdy nie znała nieszczęść które mnie dręczą! obyś nigdy nie dowiedziała się że pe-

wnego wieczora, gdym się udał pod sklepienia kościołu dla ochłodzenia się cokolwiek, spotkałem tam młodą panienkę tak piękną, tak nabożną iż ujrzałem w niéj bóstwo moje! obyś nigdy nic dowiedziała się że ją powtórnie widziałem i że ośmieliłem się ją pokochać z tak religjném uczuciem, iż ty sama zazdrościłabyś mi tego!

Tak myślał Ryszard. Lecz Marta, jego matka, wiedziała iż on kochał: ona odgadła to z jego mowy, z jego oczu, z jego głosu. W oku matki jest cóś bardziéj przenikającego niżeli wzrok orła, bardziéj przezornego niżeli rozwaga dypłomatyka, bardziéj przenikliwego niżeli zapytanie sędziego.

W téj chwili uderzyła godzina, i robotnicy winni byli udać się do swéj pracy.

Marta podniosła głowę i spostrzegła Ryszarda; on powstał ażeby zejść z dachu i pójść uściskać swą matkę, i wtenczas też postrzegł Walentego.

— Ty tutaj byłeś bracie, rzekł.

— Tak jest, marzyłem!

Obadwa poszli ucałować swą matkę; jeden ustami, drugi sercem, potem udali się do swéj pracy.

Wdowa Marta była dobrą uczciwą kobiétą, i to można było z jéj twarzy wyczytać: była też kochaną i szanowaną w pałacu, gdzie ją często używano. Chociaż bardzo ubogą była, ubiór jéj jednak zawsze zalecał się czystością godną uwagi, gdyż czystość jest zbytkiem ubogich. Dnia tego miał być dany obiad i bal u barona Lostranges, jako w szesnastą rocznicę urodzin jego ukochanéj córki Genowefy: udał się więc po nią do jednéj ze swych krewnych, u któréj od kilku dni na wsi bawiła, i miał powrócić przed godziną obiadową.

Skoro trzecia wybiła, robotnicy opuścili znowu swą pracę: był to dla nich czas przeznaczony do spożycia powtórnego posiłku. Walenty zajął znowu zwykłe miejsce, aby tam zjeść swój kawałek chleba, i oddał się potém nanowo swym występnym myślom, była to bezwątpienia chwila w któréj one miały wydać swe owoce, gdyż przyszło już do tego iż rzekł

sam do siebie, gdyby moja matka nie była tam!
— W téj chwili usłyszał z dołu głos swojéj matki.

— Czy jesteś tam Walenty?

— Tak jest moja matko, odpowiedział cokolwiek pomięszany i pochylił się do okna.

—„Walenty,“ rzekła znowu matka, czuję się cokolwiek słabą dzisiaj, i powrócę do mieszkania. — Ja nie postrzegam twego brata —powiedz to jemu. Bądź zdrów.

I dobra matka zwinęła swą robotę i odeszła.

Znikła więc ostatnia przeszkoda!..

W chwili poprzedzającej zbrodnią, człowiek który ma ją popełnić, wielkich doznawać musi cierpień; walka dobrego i złego okropnie musi rozdzierać jego serce, największa odwaga przy tém straszliwém przesileniu zachwiać się musi. Skoro Walenty usłyszał że matka zamknęła za sobą drzwi pokoju, stał przez chwilę nieruchomy, pragnął ażeby powróciła, było to o

statnie wysilenie zwalczonéj cnoty w jego sercu. Podniosł się, spojrzał na około siebie, i nie widział nikogo; potarłszy ręką swe pałające czoło, zebrał całą swą odwagę, i udał się do nieszczęsnego okna, które otwarte ciągle było jak oko szatana. W chwili gdy miał jakoczyć obejrzał się raz jeszcze, lecz i w tenczas nie widział nikogo.

Ach! może być iż są chwile, w których Bóg odwraca swe spojrzenie od tego świata i w tenczas spełniane są zbrodnie...

Młody robotnik przebiegł okiem z szybkością kosztowności które go otaczały, zatrzymał się nad tą bogatą śpilką wysadzaną bryłantami, która go pierwéj uderzyła, i wziął ją. W téj chwili ujrzał niekształtny cień przesuwający się po ścianie oświeconéj promieniami słońca, zapewne cień robotnika przechodzącego po przeciwnym dachu, obrócił się nagle mówiąc do siebie; „ widziano mnie! lecz nic nie zobaczył. Trzymając ciągle śpilkę w ręku, wydostał się na rynnę, przebiegł potém jeden dach, potém drugi, oglądając się ciągle, lecz

nie widział nikogo. — Natenczas umieścił kosztowną szpilkę na swém łonie. W téj chwili usłyszał turkot pojazdu wjeżdżającego na podwórze pałacu: niespokojny, wychala się ponad rynnę dla przypatrzenia się, lecz zginając się wbija sobie szpilkę głęboko w piersi; boleść odbiera mu przytomność, traci równowagę, i upada z krzykiem na bruk podwórza. Słudzy, mularze, przechodzący, pan de Lostranges, który powracał z swą córką, otaczają z pośpiechem młodego robotnika. Przywołano lekarza; ten oświadczył iż Walenty złamał sobie nogę.

—Tutaj nie ma ani jednego wolnego pokoju żeby go pomieścić można, rzekł baron zimno, niechaj zaniosą natychmiast nieszczęśliwego do jego mięszkania.

— Lecz panie, odważył się przemówić jeden z robotników, matka jego jest tak ubogą iż nie może mieć o nim starania.

— A więc — niech go zaniosą do szpitala.

W krótce tam przeniesiono Walentego; jego matka, skoro ją zawiadomiono, pobiegła do

niego. Pomimo doznawanych boleści miał jednak tę nadzwyczajną przytomność umysłu iż trzymał ciągle szpilkę w ręku, kiedy go rozbierano w szpitalu, i dopiéro gdy położonym został, wsunął ją zręcznie pod materac i tam ją zatknął.

Powróćmy teraz do pałacu.

Gdy wypadek, o którym wspomnieliśmy wyżéj, zgromadził wszystkich na podwórzu, kilku mularzy nie widząc swego drugiego pomocnika wołali. Ryszardzie! Ryszardzie! twój brat jest ranionym!

Ryszard znajdował się natenczas na jednym z dachów, zkąd miał widok na przyległe za miastem pola, i zatopiony w swych marzeniach pełnych poezji i tęschnoty zapomniał o całym świecie. Lecz gdy krzyk, Ryszardzie twój brat jest ranionym, doszedł jego uszu, zerwał się aby poszukać drabinki potrzebnéj do zejścia, nie znajdując jéj, spuścił się do otwartego okna w pokoju barona, aby zejść schodami. W téj chwili wszedł pan de Lostranges do siebie, wydawszy rozkazy, o których wspomnieliśmy.

— Co tu robisz? spytał Ryszarda.

— Panie odpowiedział tenże, idę zobaczyć mego brata ranionego.

— To idź więc, rzekł baron..... Lecz dla czegóż u kata, przechodzi on tędy? dodał, kiedy mularczyk już wyszedł. Ci ludzie mają prawdziwie szczególniejsze przyzwyczajenia.

Skoro wieczór nadszedł, pan de Lostranges chciał się przebrać na bal, poszedł na górę do swego pokoju, a za nim jego służący. Gdy chciał włożyć swą szpilkę, nie znalazł jéj na tém miejscu, na którém ją położył.

— To prawdziwie rzecz osobliwa, rzekł. Julijanie poszukajno mojéj szpilki z brylantami.

Ani on, ani Juljan nie znaleźli jéj, gdy raptem zawołał baron uderzywszy się w czoło.

— Ach co mi na myśl przychodzi! ten młody mularczyk którego tutaj spotkałem..... Juljanie biegaj, dowiedz się, ja chcę ażeby natychmiast przyprowadzono brata tego ranionego robotnika, — nadewszystko niechaj się spieszą jak najbardziéj.

Ryszarda znaleziono przy łóżku Walentego.

. . . .

— Młodzieńcze, rzekł Julian. pójdź z nami, ukradłeś kosztowny klejnot panu de Lostranges...

— Ja? zawołał biédny chłopiec.

I spojrzał na swą matkę i brata. Ten ostatni zbladł jak trup, tak dalece iż Ryszard to uważał.

- Jakto? — ja! powtórzył.

— Jeżeli nie ty, rzekł służący, to pójdź usprawiedliwić się panu baronowi.

Ryszard poszedł za służącym. Marta stała jak bez duszy, ani słowa wymówić nie mogła. Skoro stanął przed baronem, ten odezwał się w ten sposób.

— Spotkałem cię dzisiaj w tym pokoju, wziąłeś ztąd szpilkę; oddaj ją, a ja ci przebaczę przez wzgląd na twę matkę i ranionego brata.

— Panie, odpowiedział Ryszard wyniośle, podniosłszy głowę, ze spojrzeniem pełném gniewu, jestem niewinny.

— Dzisiaj, tego jeszcze poranku, rzekł służący, siedziałeś naprzeciwko, z oczami wlepionemi w te sprzęty, nadto...

Juljan złudzony był w téj chwili podobieństwem dwóch braci.

— Jestem niewinny, powtórzył Ryszard, nie byłem tam wcale dzisiaj, i na te sprzęty nie patrzyłem.

— Przysięgam na Boga że go widziałem, zawołał służący.

Natenczas Ryszard wspomniał na swego brata, on go widział tego poranku, na tém samém miejscu które mu wskazano, i widział go zamyślonego, przypomniał sobie nadzwyczajną bladość, która pokryła twarz jego, gdy usłyszał o kradzieży, — zmięszał się...

Ukończmy rzecz całą, rzekł baron, czekają na mnie.

— Czy przyznasz się żeś wziął ten klejnot?..

— Jeżeli nie ty, to brat twój, rzekł Juljan, gdyż...

— Wyznaj rzekł baron.

Usta mularczyka otworzyły się słabo, i wymknęło się,, tak jest" wraz z westchnieniem. Ja wam to powiedziałem, ten człowiek kochał z namiętnością.

— Oddaj mi tę szpilkę, a ja ci przebaczę, u- ciekniesz...

— Panie mruczał Ryszard, ja jéj nie mam.

— Niech go przetrząsną.

Nie znaleziono nic więcéj, jak tylko kilka kartek Chateaubrianda, zebranych nie wiem jakim sposobem.

— Niech poszukają żandarmów, aby go zabrali; — teraz udajmy się na bal.

W chwili kiedy Ryszard przechodził podwórzem pomiędzy dwuma żandarmami, postrzegł przez szyby salonu pana de Lostranges, który trzymał swą córkę za rękę i wyrzekł głośno: — panowie, dzisiaj córka moja Janna Genowefa de Lostranges skończyła lat szesnaście.

Mularczyk upadł bez przytomności, on poznał tę którą kochał, tego anioła, którego widział w kościele.

Więzienie.

II.

— Dwudziesta trzecia strofa!
— Ach! dosyć już i tak tego.
— Wiele masz ich jeszcze?
— Jeszcze dwie, cóż u djabła, wszak to mowa pogrzebowa nad jednym z naszych najlepszych towarzyszy, powinniście jéj słuchać.

— Milczeć!

— Niech mówi!

— Jeszcze kilka minut uwagi, i będzie koniec. — Słuchajcie.

Do przytomnych rzekł potém wesolo,
Którzy w milczeniu stali w około,
Żal mi, żem kradł tak długo na świecie,
Gdy mnie pogrzebać w trumnie nie chcecie.

Lecz kiedy zobaczył kata,
Kiedy zobaczył miecz srogi,
Wesołość z twarzy ulata,
Pobladł jak chusta niebogi,
I swe oczy spuścił smutnie....
A w tem kat mu głowę utnie.

— Dosyć! dosyć!

Brawo! niech mówi daléj, albo ubiję tego co mu będzie przeszkadzał.

— Panowie podwójcie uwagę: otóż taka ztąd moralna nauka, — dwudziesta piąta i ostatnia strofa tych prześlicznych trenów.

To ma być dla was przestrogą
Że na świecie kraść nie trzeba,
Ani zabijać — to obraza nieba:
Lecz iść zawsze prostą drogą.
Otóż jest moralność cała,
Kto tak żyje, temu chwała!

Brawo! brawo! ja przysądzam Coupardowi wieniec laurowy; otóż to mi jest romans prawdziwy.

— Panowie, obrażacie moją skromność. Ja tylko chciałem pokazać że cóś więcéj potrafię niżeli tylko wyciągać chustki z kieszeni po jarmarkach, i żebyśmy tylko chcieli zadać sobie trochę trudu, zawstydzilibyśmy okropnie wszystkich poetów nowego i starego świata. Lecz — daléj! do szklanek!

Taka rozmowa toczyła się wobec Ryszarda; we dwa lata po wypadkach o których mówiliśmy, w główném sali więzienia wśród wrzasku, śmiechów do rozpuku, i uderzeń szklankami.

Ryszard nic nie słyszał, ani widział co się działo koło niego, jedna tylko myśl zajęła wszystkie władze jego duszy; za dwie godziny miano go stawić przed trybunałem, gdyż dwa lata przepędzone w więzieniu były tylko dwoma latami przygotowawczego śledztwa. Za dwie godziny, mówił do siebie, stawiony będę przed sędziami, i w obec zgromadzonego tłumu, może nawet w przytomności mojéj matki, ogłoszą mnie złodziejem, — mnie! O Boże czemże cię obraziłem!

O! bracie! bracie!!!

Jeden ze złoczyńców, jego towarzyszy przybliżył się do niego ze szklanką w ręku.

— Kolego, rzekł pij, — to ci doda serca, a będziesz go za chwilę potrzebował. Jesteś chwat pełen talentów i nadziei, nabierz odwagi; cóż chcesz mój drogi, spotka cię pewno jaka dziesiątka latek, lecz potém pójdziesz wyciągnąć swą szpilkę z tamtąd, gdzieś ją schował, — i niech żyje radość!

— Dziękuje — rzekł Ryszard odpychając ręką szklankę, — ja nie mogę pić.

— Jak ci się podoba, ja szanuję zawsze wolą każdego, — wypiję za twoje zdrowie.

Od dwóch lat jak nasz mularczyk jęczał w więzieniu, wiele nowych zaszło wypadków. Walenty, skoro wyzdrowiał, pracował jeszcze przez jakiś czas aby oddalić wszelkie podejrzenia; odwiedzał niekiedy Ryszarda, lecz zawsze w towarzystwie matki z obawy aby nie znajdował się z nim bez świadków, potém wreście oddalił się, oświadczywszy iż udaje się do Paryża prowadzić dalej swoje rzemiosło. Baron de Lostranges odebrawszy zlecenie polityczne opuścił Amiens i zabrał z sobą swą córkę Genowefę. Juljan, pokojowiec jego pozostał jednak, i miał świadczyć w sprawie Ryszarda.

Podczas tych dwóch lat i rozum młodego mularza dojrzał, umysł jego sie rozwinął, dusza jego wzrosła. U ludzi słabych nieszczęście przytłumia zdolności; ono osłabia, — przygnębia. Lecz ludzi takich jak Ryszard, ono podnosi i uszlachetnia, — obudza w nich ducha poezji. Pogrążony w téj zaraźliwéj jamie zawierającéj smierci i plugastwo społecznosc

w tém piekle moralném, Ryszard, oskarżony o kradzież i schańbiony w oczach ludzi, doznawał boskiéj pociechy; tak słodkiéj — że zapominał niekiedy o swém głębokiém upokorzeniu, tak potężnéj — iż czasem nie mieniałby sklepień swego więzienia za łuk tryumfalny, i tak wielkiéj — iż były chwile w których powracała do niego nadzieja, nadzieja — która może jest jedyném szczęściem na tym świecie. — On, — Ryszard, oskarżony, on mularz — on był poetą!!!

I nie sądźcie żeby w nim poezja objawiła się w skazówkach niepewnych, nie myślcie ażeby Ryszard w głębi swego więzienia zajęty był wierszowaniem kilku myśli, lub swych skarg i żalów. O! bynajmniéj! — On był poetą, bo miał duszę poetyczną, — bo to było wolą Boga. — On był poetą w olbrzymiém znaczeniu tego słowa, a myśli jego wzruszyłyby świat cały.

W chwili, gdy pojął swój jeńjusz ukryty za pomroką niewiadomości, podniósł głowę dotychczas upadającą pod ciężarem uciskającego

nieszczęścia, gdyż został silniejszy od niego. Spoglądał na około siebie bez trwogi: pytał się jaki tajemniczy wyrok Boga rzucił go w to miejsce, i od tej chwili łzy jego płynęły tylko na wspomnienie matki.

Natenczas mówił do siebie: że jeżeli zbieg dziwnych okoliczności tam go sprowadził, te okoliczności były zrządzone wyrokiem nieba; że to więzienie otwierało mu drogę do celu niewidzialnego dotychczas, którego jednak wielkość w sercu swém przeczuwał; że jeżeli wola Boga wlała w jego duszę ten płomień tak potężny, ona też rownie zesłała na niego nieszczęście, aby go powołać do działania.

Otóż co mówił do siebie Ryszard poeta, i odgadując że każdy z ludzi wybranych, do których on się liczył, odbiera od Boga przeznaczenie szlachetne i piękne, wierzył mocno, iż nieszczęście spadło na niego tylko dla tego, aby mu wskazać jego powołanie.

Były chwile, w których upadał na sercu i człowiek brał miejsce poety, w których nędza życia materjalnego bolesne robiła wrażenie, w

których, gdy widział swą matkę we łzach, cierpiał okropnie iż nie mógł się uniewinnić nie oskarżając brata; lecz te chwile były krótkie; i znowu Bóg użyczał mu odwagi.

Nigdy nie przyszło na myśl Ryszardowi aby oskarżyć Walentego dla uniewinnienia siebie.

Jego matka wierzyła iż on był niewinnym, ona prawdy wcale dociec niemogła, nic sobie nie tłumaczyła, nie miała żadnych dowodów, a jednak wiedziała iż on jest niewinny, i przysięgłaby to samemu Stwórcy na zbawienie duszy swojéj. Ach! miłość matki jest najpiękniejszém dziełem Boga!

A tak wtrącony pośród złodziei, fałszerzy, mórderców, Ryszard wierzył iż może społeczność nauczać, i zaraz z początku, widząc takie mnóstwo złoczyńców, osądził, iż ona źle jest urządzoną. Od chwili w któréj powstał z odwagą w sercu i godłem jenjuszu na czole, nawet więźniowie sami uznali jego wyższość. Kazał więc im opowiadać sobie zbrodnie i błędy które spowodowały ich uwięzie-

nie. Natenczas słyszał on wiele smutnych historji, rozdzierających serce jego, strasznych dram, które go drżeniem przejmowały, natenczas cała przeszłość tych ludzi rozwijała się w oczach jego, pełna radości, morderstw, miłości, obrzydzenia, niewinności, rozbojów, poezji, zemsty i łez; i gdy wszystkiego wysłuchał, wznosił oczy ku niebu mówiąc, czyliż pragnąłeś tego o Boże?

Badając z samych początków spełnione przez swych towarzyszy zbrodnie i błędy, starając się poznać położenie jakie zajmowali w świecie, ich charakter, ich myśli, ich nadzieje, Ryszard utwierdził się w powziętém już raz przekonaniu, że porządek towarzyski na złych istnieje zasadach i smutne dla naszéj społeczności wyprowadzał wnioski z swych cierpliwych badań. — Z boleścią widział iż u wielu z tych ludzi, którzy mu odkryli swą duszę, zbrodnia była równie nieuchronnną jak śmierć i nieszczęście. Wielu z pomiędzy nich długo zachowało niewinność swego serca, aż póki nie zaraziło ich nieczyste tchnienie saméj społeczności. Od-

krył, iż między niewinnością a zbrodnią znajdują się wielkie cierpienia, i nie raz drżał słuchając podobnéj jak swego brata historji. Nareszcie potrafił tak poznać społeczność, jak gdyby żył w niéj, i przekonajcie się, jak on się czuł potężnym i natchnionym — on śmiał marzyć o jéj odrodzeniu! On — którego miano za dni kilka zaprowadzić przed trybunał. Lecz w chwilach swego natchnienia trybunał i jego wyrok hańbiący zdawał mu się być apostolstwem; a czując siłę życia wrzącą w swych żyłach, mówił sam do siebie, że dziesięć lat to jest za mało, że on będzie potrzebował długiéj lat kolei, i że użyczony nam przez Boga pobyt na téj ziemi, który my życiem nazywamy, dozwala człowiekowi wiele po sobie śladów zostawić.

Mało jest zbrodni którychby nie poprzedziły okropne cierpienia, prawie wszystkie są skutkiem fałszywéj organizacji społeczeństwa; zmieńcie porządek towarzyski, zmniejszą się cierpienia, a tem samém i zbrodnie.

Wszystkie swe badania, swe myśli, swe zamiary zawarł Ryszard w jednéj książce; wylał

w nią całą duszę swoją. i było to arcydzieło. Bezwątpienia wiele w niéj znajdowało się niedoskonałości i błędów; ten jeńjusz nieznany umiał tylko pisać i czytać, lecz ja wam powiedziałem on wylał w nią całą swą duszę, i to było arcydzieło. Kiedy była już skończoną, Ryszard przepędzał czas, oczekując sądu, na jéj odczytywaniu i poprawianiu, i coraz był dumniejszy z siebie, coraz więcéj czuł wdzięczności ku Bogu, który go natchnął.

Jednakże biédny młodzieniec nie mógł zupełnie ostudzić sobie jednego cierpienia. — Miłość Genowefy de Lostranges trawiła jego serce; — miłość bez nadziei i żądzy, która jednak była często powodem, iż złorzeczył zbrodni swego brata.

A tak pisząc swą książkę, myśląc o Genowefie, pocieszając matkę, modląc się za Walentego, doczekał się Ryszard dnia w którym go miano sądzić. Rano dnia tego wstał bardziéj blady niż zwykle; noc była dla niego okropną, i chociaż przyrzekł sobie zachować stałość i odwagę, był jednak słabym i cierpiącym.

W południe miano go zaprowadzić przed zgromadzenie sądu, o dziesiątéj godzinie przyszła matka do niego.

— Miéj odwagę rzekła, ocierając łzy swojego syna, — miéj odwagę moje biédne dziecko, uznają twoję niewinność, nie mogą cię ukarać. To niepodobna, bo wreście ty nie wziąłeś téj przeklętéj szpilki, mówią żeś się przyznał, lecz to być nie może.

— Niestety! moja matko, ja powiedziałem — tak jest!

— W podobnych chwilach można nie wiedzieć co się mówi, ja to sobie wyobrażam; lecz ty mój Ryszardzie! — ty miałbyś ukraść! ach! nie! — nie, nigdy! Ty będziesz uwolniony, Bóg jest dobry i sędziowie także, niewinnego zaraz poznać można.

I pomimo téj nadziei łzy płynęły biédnéj Marcie, a syn jéj stał zasępiony i smutny; nagle zaczęła znowu:

— Może to tylko dzieciństwo lecz mniejsza o to, trzeba abyś mi był posłuszny; oto masz Ryszardzie ten mały krzyżyk złoty, za-

wieś go na szyi, jestem pewna, że to ci szczęście sprowadzi; i zawiesiła krzyżyk na szyi swego syna.

Uderzyła dwunasta.

Żandarmy weszli, i rozłączywszy z trudnością matkę i syna, sciskających się wśród łez łkania, uprowadzili z sobą Ryszarda. Marta szła za nim do trybunału, i modliła się do Boga głośno po ulicy, lecz nie płakała, — jéj łez już brakło.

Służący pana de Lostranges zaprzysiągł przed sądem iż widział kilka razy Ryszarda krążącego około tego okna, którędy potém weszedł; powtórzył wyznanie mularczyka, wyznanie które sam baron podał do protokułu przed swym odjazdem. Oskarżony źle się bronił, mięszał się, zaprzeczał to, co powinien był przyznać, przyznawał to, co powinien był zaprzeczyć; adwokat źle zrozumiał jego obronę, i chcąc go uniewinnić, pogorszył jeszcze jego sprawę. — Nareście trybunał po krótkiéj naradzie, postanowił hańbę młodzieńca; jednakże powodując się niejakiém pobłażaniem, skazałgo

tylko na pięć lat robót ciężkich, na piętnowanie, i na wystawienie przez godzinę na placu publicznym.

Ani Ryszard, ani matka nie przewidzieli tego. Gdy więc usta prezesa wyrzekły wyraz „piętnowanie,, oskarżony zawołał głosem straszliwym:

— Ja jestem niewinny, ja chcę tego dowieść.

Potém zatrzymał się, już miał wyrzec imie Walentego.—Prezes mówił daléj:

— Oskarżony ma prawo w ciągu trzech dni odwołać się do kassacji.

Odprowadzony do więzienia Ryszard oczekiwał na swą matkę. Wkrótce też przyszła. Nie pozwolono jéj aby była przytomną ogłoszeniu wyroku, i dla tego nie wiedziała jeszcze jakie było postanowienie trybunału. Lecz skoro się dowiedziała o niém z ust swego syna, wydała krzyk boleści i upadła na ziemię. Ryszard pochylił się ku niéj. — Ona rzekła:

— Mój synu, ty jesteś niewinny, błogosławię cię...

I dusza jéj uniosła się w niebiosa z ostatniém pocałowaniem.

Przez trzy dni obawiano się o życie Ryszarda, czwartego dnia gorączka opuściła go, głowa jego uspokoiła się, — mógł myśleć. — Moja matka umarła, mówił do siebie, mój brat niczem już jest dla mnie, ja sam jestem zhańbiony, powinienem umrzeć! — nie ma już dla mnie żadnéj nadziei. Żyć ze znakiem niesławy na ramieniu to się piekłu równa, — umrzyjmy! Gdyby Bóg chciał, aby człowiek nie odbierał sobie życia w chwili, kiedy ono mu jest okropniejsze niżeli śmierć, wlałby w jego serce więcéj odwagi i siły, — ja moją już wyczerpałem. Pozostało mi tylko tyle, ile potrzeba do samobójstwa; ukryję wstyd mój w nocy grobowéj, i wkrótce przebudzę się w wieczności nicestwa.

Napróżno szukając przez długi czas środków do wykonania swego zamiaru, postanowił nareście rozbić sobie o mur głowę. Oczeki•

wał chwili stosownéj, skoro nadeszła, gotował się uderzyć głową o ścianę swego więzienia; lecz gdy się zamierzył, uczuł się być zatrzymanym. — Pomacał się koło szyi, i spostrzegł, że sznurek na którym był zawieszony krzyżyk jego matki, zaczepił się o gwóźdź ukryty w ciemności. Uznając w tém Boską przestrogę, upadł na kolana mówiąc: O! moja matko, ty znowu mię ocaliłaś! ty chcesz abym zachował to życie, które mi dałaś, będę ci posłuszny. O! moja droga matko, ja żyć będę. — Ten krzyż sprowadzi dla ciebie szczęście mówiłaś! dobrze więc! wierzę twoim słowom. Kto wie, Bóg może je spełni, mam jeszcze nadzieję chociaż teraz sam jestem na świecie!.. sam, o nie, mam mój rękopism, on będzie moją podporą, moją nadzieją, moim przyjacielem; za pięć lat da mnie poznać światu.

W dziesięć dni potém wykonano wyrok na Ryszardzie.

WIDZENIE SIĘ.

III.

Szusta godzina uderzyła na zégarze przy kościele Śgo. Tomasza z Akwy, gdy pewien człowiek okryty łachmanami wszedł do wspaniałego pałacu przy ulicy Śgo Dominika. Stanąwszy przed odźwiernym, zapytał się go czy pan hrabia de Laperiviere jest u siebie?...

— Dla czego, rzekł Cerber, który stosował swą zuchwałość do widocznéj nędzy pytającego.

— Ponieważ chciałbym z nim mówić.

— Jeżeli dla tego, to go nie ma w domu.

— Będę czekał.

I człowiek w łachmanach usiadł na kamieniu naprzeciwko pomięszkania odźwiernego.

Za chwilę elegancki tilbury zatrzymał się przed pałacem, młody człowiek wysiadł z niego i zapytał się o pana de Laperiviere.

— Jest w domu panie.

Elegant wbiegł spiesznie po schodach, które zdaje się iż znał dobrze. Nieznajomy przybliżył się natenczas do odźwiernego i rzekł.

— Skłamałeś panie, pan hrabia jest w domu, ja chcę się z nim widzieć. I poszedł prosto do pokoi, gdy tymczasem odźwierny mówił do swéj żony, służący nie puszczą podobnego nędzarza, ja zrobiłem swoję powinność.

Przyszedłszy do przedpokoju, nieznajomy zapytał się kilku znajdujących się tam lokai, czy się może widzieć z ich panem. W głosie

i całéj jego postaci tyle było mocy i silnego postanowienia, iż odpowiedzieli mu dość grzecznie, że u pana de Laperiviere znajduje się w téj chwili jeden z jego przyjacjół, lecz że jeżeli będzie się chciał zatrzymać, będzie się mógł z nim zapewne widzieć. Nieznajomy usiadł i oczekiwał.

W kwadrans późniéj znajdował się przed panem de Laperiviere w jego gabinecie.; hrabia pierwszy zaczął mówić.

— Chciałeś pan mówić ze mną, i pomimo szczególnego ubioru, z chęcią pana wpuścić kazałem, gdyż sądzę, chodzi tu o rzecz wielkiéj wagi.

— Tak jest panie hrabio, o rzecz wielkiéj wagi, wkrótce sam pan się o tém przekonasz.

— Chciéj mi pan pierwéj powiedzieć z kim mam zaszczyt mówić.

— Nazywam się Ryszard Beaumont, byłem przez jakiś czas mularzem, lecz od siedmiu lat już nim nie jestem.

— Cóż pan robiłeś przez siedem lat?

— Cierpiałem.

— Lecz przecież...

— Panie hrabio, racz mię wysłuchać. Od sześciu miesięcy pan jesteś pierwszym człowiekiem, którego znalazłem skłonnym do słuchania mnie, i za to pozwól abym ci podziękował; pan nie znasz wielkości tego dobrodziejstwa, jakie mi wyświadczasz zwracając swą uwagę na to, co mam mówić. Gdyż zacząłem już rozpaczać dzisiaj, i Bóg sam zapewne sprowadził mię tutaj, aby wysłuchane były słowa, które włożył w usta moje.

Ten człowiek jest zapewne szalony, myślał hrabia. Nie bardzo sobie życzę zostawać z nim sam na sam.

I zadzwonił na swego pokojowca.

— Przebacz pan, rzekł do Ryszarda, lecz sądzę iż obecność mego służącego nie może mu być na przeszkodzie.

— Bynajmniéj panie.

W téj chwili wszedł służący, i Ryszard poznał Juljana, który zostawał teraz w służbie hrabiego de Laperiviere.

Na widok jego pobladł,— i Juljan poznał go także:

— Panie hrabio! zawołał, co tu robi ten człowiek? czy wiesz z kim się zamknąłeś w tym pokoju? niech pan hrabia patrzy.

I wprzód nim Ryszard zdołał jedno słowo wymówić, Juljan obdarł jego ramię z pokrywających je łachmanów, a hrabia cofnął się z przerażeniem.

— Ah! niechaj przekleństwo spadnie na tego, zawołał Ryszard skoro go wygnano z pałacu, w którego głowie najpierw powstała myśl piętnowania; w dzień sądu ostatecznego wiele łez i krwi oskarży go przed tronem Boga.

Odcierpiawszy całkowicie karę na galerach rządowych w Brest, wypuszczony został Ryszard na wolność i zaczął myśleć o urzeczywistnieniu marzeń, które mu słodziły okropność więzienia. Pięć lat niesławy i hańby nie stłumiły w nim głosu natchnienia; przez ten czas dojrzały szczytne pomysły w jego głowie. Praca ręczna, na którą został skazany, zostawiała mu swo-

bodę myśli, a myśl jego przebiegła, że tak powiem, wszystkie strefy świata moralnego; obrachował on wszystkie trafy które go spotkać mogły, i uzbroił się w nadludzką odwagę. Wśród marzeń o przyszłości i chwale, wspomnienie Genowefy, téj niewinnéj, szlachetnéj istoty, będącéj dla niego źródłem zarówno czystéj radości, jako i dotkliwych cierpień, błyszczało nie raz jak gwiazda wśród ciemnéj nocy, jak promień słońca na niebie wśród zimy, jak uśmiech wśród łez; lecz że w chwilach natchnienia, które były jedyną pociechą Ryszarda, życie materjalne gaśnie stopniami, i jakby zupełnie ustaje, a natomiast życie moralne wzmaga się i nabiera siły — on się już widział w Paryżu.

Piętno hańby wyryte na jego ramieniu, zamieniło się na godło męczeństwa, przybliżał się do Genewefy dumnéj z jego jeńjuszu, a w niebiosach widział matkę która splatała wieńce dla niego.

Jednakowoż i on często jeszcze upadał na umyśle, a życie zdawało mu się tylko długiem

pasmem nieszczęścia; lecz natenczas spoglądał na swój rękopism, i mówił sobie iż wziąść wszystko na świecie w obrzydzenie, jest to patrzyć na życie przez szkło farbowane. Modlitwa, ta pielgrzymka duszy ku Bogu, wlewała w niego odwagę, i spodziewał się, iż jeszcze ku ostatkowi życia swego doczeka się dni pokoju. Dni pokoju mówię, ale nie szczęścia, bo szczęście — to ideał.

Po ukończeniu prac obowiązkowych, wolno było galernikom zajmować się co dzień przez kilka godzin małemi robotami; a zysk ztąd do nich należał. Ryszard nie zaniedbał korzystać z tego pozwolenia, mając na uwadze, że skoro wypuszczony zostanie na wolność, będzie musiał odbyć drogę do Paryża, zbierał więc starannie swój szczupły zarobek, aby miał czem zaspokoić swe potrzeby w czasie podróży, i przez kilka dni jeszcze na miejscu.

Ryszard oniemal nie umarł z radości w dniu tym, kiedy drzwi więzienia otworzyły się przed nim, kiedy spadły z nóg jego nieszczęsne okowy, i nie widział już koło siebie obmierzłych stróżów

więziennych; odzwyczajony od świéżego powietrza nie mógł wolno oddychać, sądził iż miał zawrót głowy, płakał, śmiał się, modlił, a przechodzący mieszkańce Brestu mogliby go wziąść za szalonego. Potém, gdy umysł jego uspokoił się, widząc ile pozostaje mu jeszcze do działania zanim stanie na równi z tymi ludźmi, którzy przechodzili koło niego obojętni i swobodni, zazdrościł ich spokojnemu szczęściu, i gorzko żałował tych czasów, kiedy żył spokojnie w Amiens obok matki i brata, i tych chwil uroczystych, w których ujrzał Genowefę jakby zjawisko niebieskie pod sklepieniem świątyni.

Nareście z rękopismem swym na sercu, udał się pieszo w drogę do Paryża. Niedaleko Mortagne, kilka mil od Alencon zaskoczyła go gwałtowna burza; przymuszony szukać schronienia prosił o gościnność w klasztorze Trapistów w Perche, o trzy mile od Mortagne leżącym. Zakonnicy tego klasztoru przyjęli go z dobrocią i ludzkością godną czasów starożytnych; uszczęśliwiony tak braterskiém przyję-

ciem, on, którego wszyscy odpychali od siebie, od czasu wyjścia z Brestu, jako więźnia uwolnionego z galer, upraszał o pozwolenie przepędzenia dwóch dni w tém miejscu; to były najpiękniejsze dni jego życia. Trzeciego dnia rano udał się w dalszą drogę pocieszony widokiem, który miał przed oczami w klasztorze. Wszystkie upokorzenia i zniewagi, których mu nieszczędzono w podróży, przyjmował z anielską cierpliwością; niedostatek który cierpieć był przymuszony, znosił z odwagą i wytrwałością. Nareście przybył do Paryża.

Ach! Paryż! któż go kiedy potrafił dokładnie określić? Któż zdoła mnóstwo różnorodnych części zebrać w jeden punkt widzenia, aby cały obraz zamknąć w jednéj myśli? Paryż! — to Panteon występku, katownia cnoty, coś wielkiego a zarazem nikczemnego, ciągła sprzeczność dobrego i złego, pięknego i szpetnego, szczytnego i błotnistego. Paryż! — rzecz równie trudna do określenia jak świat sam, nierozwiązana zagadka, całość potworna, mięszanina plugawa, to Paryż!!!

Paryż! — Każdy zapatruje się na niego z punktu widzenia, w jakim go los umieścił. Dla matematyka to zbiór samych liczb wielkich. — Dla młodzieńca, rzecz przyjemna. i dobra; tam można kochać i być kochanym Dla człowieka który nasycił się życiem, jest to zaraźliwe miejsce gdzie duszę swą skazić można. Dla adwokata, to trybunał, w którym każdy prawuje się dla swéj korzyści. Dla doktora, to szpital rozległy. Dla artysty, teatr na którym błyszczyć trzeba mimo zawiści, głupstwa, i niesprawiedliwości. Dla księdza — miejsce pokusy i doświadczenia!

Paryż! — to ołtarz, rusztowanie, zbiór śmieci i plugastwa, las, szranki, szulernia, piekło, raj, jarmark, świątynia. — to wszystko Paryż!!!

Biédny Ryszard sądził że znał świat, — on nie znał Paryża.

Z rękopismem swym w ręku, udał się on naprzód do ludzi którzy czuwają nad wykonaniem praw, do ludzi, którzy je stanowią; wszędzie został wypchnięty i wyśmiany! Nikt nie

chciał go słuchać. Weiskał się do pałaców, ministeriów, i wszystko naprożno; to jest szalony, wołano, albo złoczyńca. Ani jeden głos nie odezwał się, to może jest sprawiedliwy.

W miejscach przechadzki publicznéj, po kawiarniach, na ulicy, krzyczał do wszystkich iż chce uratować społeczność która dąży do swego upadku; wyśmiewano go w oczy, a małe dzieci ciskały na niego błotem i kamieniami. Zatrzymywał przechodniów aby im odczytać swój rękopism; został ujęty jako włóczęga mięszający porządek publiczny i wrzucony znowu na kilka dni do więzienia.

Ryszard niemal chciał Bogu złorzeczyć.

Już sześć miesięcy bawił w Paryżu kiedy przedstawił się panu de Laperiviere. Słyszał on, iż go chwalono jako człowieka uprzejmego i dobrego, i dla tego zgłosił się do niego, nie chcąc mieć sobie do wyrzucenia iż zaniedbał cóśkolwiek, coby mogło posłużyć do tryumfu jego nauki.

Lecz ujrzawszy się prawie nagim na bruku,

o ósméj godzinie w wieczór, podczas zimnéj nocy grudniowéj, bez schronienia, i bez chleba, stracił nadzieję, i wiara osłabła w jego sercu. Wkrótce nastąpiło powątpiewanie, najstraszniejsze dla serca ludzkiego; powątpiewanie — ten zjadliwy robak, który skoro wciśnie się do serca, toczy go dopóty, póki nie wyniszczy w niém kolejno wszystkich złudzeń, — całéj wiary.

Na ławce kamiennéj, naprzeciwko pałacu hrabiego, postanowił Ryszard noc przepędzić. Śnieg zaczął padać, spoczątku jak proszek srebrny, drobny i przenikliwy — wkrótce powiększył się. Swiatła zaczęły się pokazywać w oknach pałacu, ich liczba coraz się powiększała, kazały się domyślać iż bal ma się rozpocząć. Przybywają goście, pojazdy krążą, stopnie u karet z trzaskiem się otwierają. Wkrótce roskoszna harmonja wesołéj orkiestry rozległa się po wonnych salonach, tańce się rozpoczęły; kobiéty się uśmiechają, źwierciadła błyszczą, a na dworze śnieg pada, wiatr gwiźdźe przeraźliwie, a Ryszard drży z zimna i głodu.

Otworzyły się drzwi szklanne i modnie ubrany mężczyzna z młodą kobiétą wyszli na balkon.

— Bardzo duszno w salonach, rzekła ona, niepodobna wytrzymać, chcę się orzeźwić cokolwiek świeżém powietrzem.

— Wróćmy się, droga Genowefo, powietrze jest mroźne.

— Dobrze, wróćmy się, lecz patrzno Walenty, co to za postać czarna rysuje się na tym białym murze.

Walenty zadrżał, — gdyż Ryszard posłyszawszy imie Genowefy, podniósł się, — a Walenty poznał w zarysach odbitych na białym murze, cień téj saméj postaci, który go przestraszył w Amiens, w chwili spełnienia zbrodni, i utkwił na zawsze w jego pamięci; on zadrżał, alé jednak miał tyle mocy iż powiedział.

— Ech! mój Boże! to zapewne człowiek pijany.

— Lecz nie, mój przyjacielu, patrz, otóż idzie; przybliża się do balkonu, to może jaki

nieszczęśliwy bez schronienia, trzeba mu rzucić cokolwiek drobnych pieniędzy.

Wyjęła z pośpiechem z swego woreczka gazowego kilka sztuk drobnéj monety i rzuciła poecie mówiąc, weź to poczciwy człowieku i módl się za mnie do Boga. Walenty rzucił także swą jałmużnę, i oboje weszli do salonów, —on zamyślony, ona z wesołym uśmiechem na twarzy.

Ryszard osłupiał na ich widok; tysiące szalonych myśli scierało się w jego głowie. Sądził że marzy, pytał się czyli on rzeczywiście nie jest szalonym, jak go często nazywano. Lecz kiedy się przekonał o okropnéj rzeczywistości, podniósł jałmużnę młodéj dziewicy i poniósł ją do ust swych z religijném uczuciem.

W kilka chwil potém usłyszał mocny głos lokai, wołających na niektóre pojazdy stojące na ulicy.

— Pojazd pana barona de O**

— Pojazd pana markiza de S...

— Pojazd pana Walentego de Beaumont.

— Mój brat ma wyjść, mówił do siebie Ryszard, ma przechodzić koło mnie, będę z nim mówił. Och! on nie odmówi mi swéj pomocy.

Skoro Walenty wyszedł, pobiegł do niego.

— Ja jestem Ryszard, rzekł prędko zniżonym głosem, ja jestem twój brat, potępiony i zhańbiony za ciebie; głód i zimno mi dokucza!

Walenty doznał wzruszenia, lecz w téj chwili pan de Lostranges i jego córka mieli wsiadać do powozu; byłby w niemałym kłopocie gdyby go widziano, iż rozmawiał z żebrakiem albo mu rękę podawał, odepchnął więc swego brata, mówiąc głośno:

— Jużem ci dał jałmużnę mój drogi.

Lecz gdy Ryszard zdawał się nalegać, uderzył go lekko końcem swéj rękawiczki, jakby chciał się uwolnić od jego natrętności.

To lekkie uderzenie rękawiczką okropniejsze było jak piętnowanie, jak pięć lat więzienia, jak siedem lat męczeństwa, ono wzruszyło węzły, jakie łączyły jeszcze Ryszarda

Walentego, ono rozerwało je na zawsze.

Tymczasem, inne pojazdy następowały, goście się rozjechali, drzwi pałacu zostały zamknięte, i wszystko pogrążyło się w ciemności i milczeniu. Ryszard usiadł znowu na ławce kamiennéj; on nie czuł już nawet okropności swego położenia, nie wierzył swoim oczom, swoim uszom, wątpił że żył nawet. Gdy w takim stanie siedział przez chwil kilka, zbliżył się do niego jakiś człowiek mówiąc:

— Héj! kolego, czyli chcesz koniecznie zmarznąć na téj ławce.

Na dźwięk tego głosu Ryszard podniósł głowę.

— Kto tu jest? rzekł

— Tak, to on, to głos jego.

— Lecz kto ty jesteś?

— Pewien towarzysz z więzienia, przemyślne dziecko, lecz cóż u kata, Ryszardzie!

— Ach! tak jest, to ja Ryszard, a ty kto jesteś?

— Coupard, wesoły Coupard, dobry koleżą

ka i sławny śpiéwak. Lecz kiedyśmy się spotkali, nie traćmy czasu na gawędce; téj nocy będzie dobry połów, lecz trzeba dwóch do tego, czy chcesz mi towarzyszyć? Trzeba ci wiedzieć iż rzecz się odprawi, u prawdziwego Krezusa, pana Walentego de Beaumont, chodź, spieszmy się.

— Coupardzie nie rób tego.

— Tak jest, ja wiem, to trochę niebezpieczno, zwłaszcza w téj części miasta gdzie on mięszka, lecz jutro trzeba jeść śniadanie, a ja nie mam ani złamanego szeląga.

— Weź to, oto masz wszystko co posiadam, będziesz miał żyć za co przez dzień jutrzejszy, lecz proszę cię nie popełniaj téj kradzieży.

— No dobrze! zobaczymy, zobaczymy, można odłożyć, bądź zdrów i życzę wszelkiéj pomyślności.

Skoro sam pozostał Ryszard, uczuł całą okropność swego położenia, lecz nagle myśl nowa zabłysła w jego głowie. Nie mam już ani brata, myślał, ani przyjaciela, wszystkie drzwi zamknięte są odtąd dla mnie. Społe-

czność, dla któréj tyle mógłbym zrobić dobrego, tak jest zarażona zepsuciem, iż nie warto poświęcać się dla niéj. Karze występki, których sama jest przyczyną, a wiele prawdziwych zbrodni na świecie puszcza bezkarnie; prawo ich dosięgnąć nie może, i niebo tylko jest dla nich sędzią. Uciekajmy przed tą społecznością, która nie chciała mnie zrozumieć. Miałem dwa dni w życiu moim prawdziwego szczęścia i pokoju, dwa dni spędzone w klasztorze Trapistów, wśród milczenia i pobożności. Jutro tam się udam, i pomiędzy nimi dokończe mojego żywota.

Skoro już raz powziął to postanowienie, dawna odwaga wróciła znowu do serca Ryszarda; lecz pierwéj nim został poetą był człowiekiem, i cierpienia fizyczne, wśród tak długiéj i przykréj nocy dolegały mu straszliwie: śnieg gęsty ciągle padał, wiatr był mroźny, a zimno najbardziéj dokuczało nieszczęśliwemu. Gdybym miał przynajmniéj ogień, mówił, chociażby na chwile, aby rozegrzać me strętwiałe członki..... Lecz prawda! ten rękopism nie zda

mi się już teraz na nic, gdybym zatrzymał którego ze stróży nocnych, aby od jego latarni zapalić jednę kartkę. Och! ogień byłby dla mnie bardzo przyjemny, już tak dawno wesoły płomień jego nie oświécał twarzy mojéj; jednakże spalić tę książkę, owoc myśli moich, arcydzieło rozkwitłe wśród promieni boskiego natchnienia. Ach! nie, nie, raczéj!......

Lecz jakże mi zimno mój Boże! zaledwie zdołam podnieść do ust me ręce, aby je ogrzać oddechem; książka jest teraz niepotrzebna, a zimno mię przejmuje....

W téj chwili nadszedł stróż nocny z latarnią, Ryszard udarł jednę kartkę z swéj książki i zapalił ją, a sługa miejski oddalił się obojętnie.

Chwilowy płomień pierwszéj kartki tak wielką ulgę sprawił biédnemu Ryszardowi, iż zapalił z pośpiechem cały rękopism, i ukląkłszy przed ogniem, ogrzewał swe skościałe ręce; lecz skoro ujrzał przy migającém świetle pismo, będące obrazem jego jenjuszu, gdy zobaczył unoszące się czarne i lekkie kartki, te same na które on wylał całą swą duszę, wyrzuty

opanowały jego serce, chciał wyratować rękopism, przygasić płomień rękoma, lecz już było zapóźno, ogień udzielał się gwałtownie i zniszczył ostatnią jego nadzieję. Ryszard stracił przytomność. — Nazajutrz rano przechodzący ludzie podnieśli nieszczęśliwego; w skościałych od zimna rękach trzymał czarne popioły, ostatnie szczątki swego arcydzieła.

Dwaj bracia.

IV.

Kiedy w roku 1815 familja Burbonów na tron powróciła, powstało między szlachtą Francji niejakie zamieszanie, będące skutkiem zlania w jednę całość wszystkich osób, jakkolwiek różnych opinji, i w różnych epokach tém dostojeństwem zaszczyconych.

Właśnie w téj chwili przybył Walenty do Paryża. W czasach nieporządku i zamieszania krajowego znajdują się zawsze przyjazne okoliczności dla tych małych jeniuszów, co to lubią narażać się na niebezpieczeństwo i łowić w mętnéj wodzie, dla tych, którzy chcą zbiérać to, czego nie zasiali, i mają dosyć przebiegłości i odwagi, aby utrzymać się przy owocach swego łupiestwa. Walenty nie był tego rodzaju człowiekiem, aby nie miał korzystać z przemijających wypadków. Chcąc dojść do majątku, droga honoru jest obszerna i piękna, lecz ona jest długą. Walenty obrał drogę poboczną, gdyż jemu pilno było. Sądził być rzeczą bardzo naturalną, aby udać się za syna zmarłego w Niemczech szlachcica, wiernego sługi Ludwika XV, i kazać się nazywać Walentym de Beaumont. Opisywał ze łzami w oczach śmierć swego ojca, szlachetnego Markiza Euzebjusza de Beaumont, na obcéj ziemi, zdala od pięknego nieba Francji, i wzruszał tych, którzy cisnęli się aby słyszeć z ust jego słowa, jakie miał wyrzec konający ojciec jego: Mój drogi Walenty, w chwili, w któréj mam zamienić życie

doczesne na wieczne, powinienem cię zachęcić, abyś nigdy nie opuszczał prostéj drogi, którą szli twoi dziadowie i twój ojciec; w ostatnich czasach, Bóg ciężko doświadczył dostojnych Władców którym służemy, i nas także dosięgła ta kara Przedwiecznego; lecz jeżeli umiéram zawcześnie, abym mógł ujrzeć mój kraj rodzinny, i w nim prawego Monarchę, ty jednak mój synu, powrócisz wkrótce na jego łono, abyś był świadkiem powrotu na tron swojego króla. Na twoje nieszczęście, dowody naszego szlachectwa zaginęły w ucieczce, a co gorsza, w tych miejscach zaledwie niedokładną edukacją dać ci mogłem; lecz oto masz tę kosztowną szpilkę, jest to ostatnia reszta mojego majątku; skoro Król Ludwik powróci na swój piękny tron Francji, udaj się do niego, powiedz mu, iż do ostatniéj chwili życia zachowałem dla niego w mém sercu uczucia wiernego poddanego, i użyj wartości tego klejnotu na dokończenie swéj edukacji.

Ponieważ Walenty umiał nadać z wielką sztuką cechę prawdy swym słowom, ponieważ

na czole jego jaśniały wdzięki i młodość, uwierzono mu z łatwością, i każdy otwiérał swój dom i worek synowi szlachetnego wychodźca.

Mularczyk nie zawiódł się na wysokiéj wartości swéj szpilki, zdobiący ją brylant był czystéj pięknéj wody, i przedał ją za 20,000 franków; summa ta była zupełnie wystarczająca aby mógł wystąpić na scenę świata jak potomek znakomitéj rodziny, aby mógł wynająć sobie pomieszkanie, wziąść kilku nauczycieli, i oczekiwać urzeczywistnienia swych zamiarów. Najtrudniejsze początki już przebył, z błota utworzył sobie pierwszy stopień do swego zawodu, lecz cóż go to obchodzić miało, byle tylko po nim mógł wyżéj postąpić.

Skoro nabrał wykwintnego poloru światowego i delikatnego uczucia przyzwoitości, tego płaszczyka moralnego społeczności, Walenty de Beaumont rzucił się na obszerne i śmiałe przedsiewzięcia przemysłowe. Odkrywszy w swéj podróży na prowincji mniemaną kopalnię miedzi, postanowił wydobywać ten

kruszec; lecz gdy to przedsięwzięcie wymagało daleko więcéj pieniędzy niżeli on posiadał, wymyślił wkrótce wyborny środek, aby ściągnąć do siebie massę kapitałów. Spotykamy często ludzi, których żądza błyszczenia nie może być zaspokojoną jedynie dla braku pieniędzy. Walenty wybrał jednego z takich ludzi, i potrafił zręcznie w niego wmówić, iż wydawanie pisma perjodycznego jest najprędszym i najpewniejszym środkiem do zjednania sobie sławy i znaczenia; człowiek którego użył za narzędzie, a którego my nazwiemy panem Dalby, znał już wszystkie drogi zarobkowania, wyjąwszy téj tylko; pojmował on wszystko doskonale, lecz sam posiadał tylko wyobraźnią rozpasaną, sumienie elastyczne i pióro podobne do swego sumienia i wyobraźni. P. de Beaumont zastąpił z swych funduszów pierwsze wydatki, zwierzył się p. Dalby z swoim projektem względem kopalni, i objawił chęć znalezienia jakiego bogatego wspólnika; nowy dyrektor dziennika uniesiony wdzięcznością wychwalał jak mógł najzręczniéj w swém piśmie

kopalnią miedzi w ....., niezmierne korzyści jakich z niéj spodziéwać się można, i pana de Beaumont mianował jakoby naczelnikiem tego przedsięwzięcia. Wkrótce liczni spekulanci niższego rzędu zgłosili się do Walentego w chęci przystąpienia do spółki, i ofiarowali swój przemysł w workach płóciennych, nie jeden były kupiec złożył w jego ręce owoce swéj dwudziestoletniéj oszczędności; i niedługo pan de Beaumont zaczął działać z jedną częścią złożonych w jego ręce kapitałów; lecz usiłowania jego żadnych korzyści nie przyniosły. Natenczas Walenty oświadczył z żalem swym stowarzyszonym iż wszystkie ich fundusze i *jego własne* pochłonięte zostały w tem nieszczęśliwém przedsięwzięciu: spólnicy jego chcieli się już gniewać i żądać zdania rachunków, lecz on na trzeci dzień po swém ogłoszeniu, okazał się takim filantropem na pewnym balu, objawił względem ubogiéj klassy ludu tak piękne uczucia, tak szumne zasady, iż jego imie wzniosło się jeszcze bardziéj w szacunku powszechnym.

W miesiąc późniéj ogłoszona została upadłość dziennika. W tym samym czasie kiedy zajmował się tém przedsiewzięciem, pan de Beaumont miał sposobność prowadzić wiele innych, z wielką dla siebie korzyścią, i był na przemian pisarzem politycznym, tajemnym posłem, dyplomatykiem, i nakoniec zrobił się bankierem.

Człowiek ten był jednym z najzręczniejszych ludzi swego czasu; ciągłą miał przewagę nad tymi, co go otaczali, korzystając z błędów jednych, z drugich zręczności, a z miłości własnéj i chciwości wszystkich; zgłębił sposób myślenia i charakter nie jednego człowieka, lecz wszyscy okazali się niższemi od niego pod względem dumy i chytrości. Czując się prawie olbrzymem pomiędzy karłami, powiedział sobie, iż powinien używać ich do swoich celów, sprzyjając na pozór ich własnym; znał prawdziwą wartość niemal wszystkich opinji politycznych, literackich, przemysłowych, i innych swéj epoki, i używając na swą korzyść

tych wiadomości przyszedł wkrótce do majątku i znaczenia.

Skoro został bankierem, używał przyjemności życia z umiarkowaniem i ze zbyteczną może ostrożnością, nakształt tych ludzi ziemnowodnych, którzy zarówno wygodnie żyją wśród pomyślności jak i niedostatku; starał się natenczas znaleźć dla siebie żonę bogatą i znakomitego urodzenia. Genowefa de Lostranges, którą poznał w Paryżu, posiadała według jego zdania te obiedwie zalety. Baron de Lostranges pierwszy raz go ujrzawszy, upatrywał w nim podobieństwo do kogoś takiego, którego już dawniéj kiedyś widział; lecz powziąwszy wiadomość o jego stanie i urodzeniu, zupełnie był zadowolony i przychylił się do żądania Walentego, który prosił o rękę jego córki: u barona de Lostranges duma była sprężyną życia.

Genowefa, skutkiem jednego z tych zjawisk duszy niedocieczonych dla umiejętności, skutkiem pewnego rodzaju widzenia wewnętrznego, skoro pierwszy raz zobaczyła p. de Beaumont poczuła do niego wstręt niezwyciężony.

Lecz gdy baron oświadczył, że bardzo sobie tego życzy, aby mógł ją widzieć połączoną z tym bogatym młodzieńcem wysokiego rodu, starała się wstręt swój przezwyciężyć. Walenty z swéj strony, chcąc dać Genowefie dobre wyobrażenie o uczuciach swego serca, okazał się bardzo wspaniałomyślnym w wielu zdarzeniach, kiedy chodziło o przyniesienie ulgi cierpiącym niedostatek, starał się naśladować jéj upodobania, okazywał charakter prosty i dobry, i był dla niéj ciągle z uprzedzającą grzecznością. Nareście, bardziéj w chęci podobania się swemu ojcu, niżeli z innych przyczyn, Genowefa postanowiła oddać swą rękę panu de Beaumont; było to właśnie w kilka dni po takiém postanowieniu, kiedy się spotkali na balu u pana de Laperiviere, gdzieśmy ich widzieli.

Panowie de Beaumont i de Lostranges, w kilka dni późniéj, znajdowali się obadwa w gabinecie ostatniego.

Panie de Beaumont, rzekł baron, sądzę iż ukończyłem już mój zawód polityczny, zestarzałem się, i życie paryskie zaczyna tracić dla

mnie wdzięki swoje; córka moja Genowefa nie znajduje także wiele przyjemności w stolicy, jeżeli chcesz więc nas prawdziwie uszczęśliwić, pozwolisz abyśmy się udali do mego zamku O.. ligny, niedaleko Alencon, aby tam po zawarciu związku waszego, żyć spokojnie i szczęśliwie.

W téj chwili, myślał Walenty, powinienem na wszystko pozwolić, lecz po ślubie dam poznać moję wolą.

W Oligny, mówił daléj baron, urządziemy się w ten sposób, aby mieć wszystkie rozrywki Paryża. To bezwątpienia będzie nas wiele kosztować, lecz połączywszy nasze majątki, jesteśmy bogaci. A nadto ponieważ nie mógłbyś się już nadal oddawać czynnościom przemysłowym w Paryżu, życzyłbym, abyś zgromadził w jak najkrótszym czasie wszystkie swe kapitały; ja z moimi zrobię to samo, a tak najdaléj za miesiąc osiądziemy w mym zamku. Cóż myślisz panie de Beaumont o tym zamiarze?

— Iż jest mądrze ułożony, mój kochany ba-

ronie, jednakże czyli to zgromadzenie mych kapitałów jest koniecznie potrzebne?

—Bezwątpienia, mój przyjacielu, mówiłem ci już o wielkich wydatkach koniecznych w zamku Oligny, które ty sam ponosić powinieneś, gdyż on stanowi część posagu Genowefy...

— Ach! ach! bardzo dobrze, jeszcze o tém nie wiedziałem.

— A potém, gdybyś chciał prowadzić daléj swój dom handlowy w Paryżu, musiałbyś powierzyć nadzór jego człowiekowi rzadkiéj poczciwości, drugiemu sobie; jego utrzymanie kosztowałoby cię drogo, a jednak nie szłoby tak, jak gdybyś sam był obecny.

— Lecz dla czego chciałbyś pan, abym w tak młodym wieku przestał już myśleć o powiększeniu mego majątku?

— Jak widzę, panie de Beaumont, masz zamiar powrócić do Paryża skoro zostaniesz moim zięciem, i dla tego tylko zdajesz się przychylać do mego przedstawienia, aby jak najspieszniéj związek wasz został zawarty.

— Jakto baronie, mógłbyś przypuszczać...

— To co powiedziałem, w istocie, przypuszczam; lecz ponieważ ja chcę mieszkać w Oligny, i chcę mieć przy sobie mą córkę, a pan jak się zdaje nie mógłbyś żyć bez niéj w Paryżu, oświadczam więc.....

Ach! mój Boże, proszę cię mój teściu, nie unoś się tak, twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, i abym ci tego dowiódł, zajmę się dzisiaj jeszcze ukończeniem moich interesów. Za kilka dni będę gotów do wyjazdu,

— Przewybornie! bądź przekonany panie de Beaumont, iż będę starał ci się za to wywdzięczyć.

W miesiąc po téj rozmowie, pan de Beaumont, baron de Lostranges, i jego córka osiedli w zamku Oligny, położonym nad rzeką Sarthe, pomiędzy Alencon i Mortagne. Wielki majątek bankiera zamieniony został na papiery procentowe i gotowiznę, który przechowywał je w swojém pomieszkaniu, oczekując sposobnéj chwili aby mógł oświadczyć swe stałe postanowienie powrócenia do Paryża.

Oczekując obrzędu ślubnego, baron i przy-

sili małżonkowie odbywali częste przechadzki po okolicach. Ciekawi byli zwiedzić klasztor Trapistów, położony niedaleko od zamku; lecz tylko baron i Walenty mogli zaspokoić swoją ciekawość, gdyż kobiétom reguła zakonu wzbraniała zupełnie przystępu.

RYSZARD.

V.

Ryszard znajdował się już od dwóch miesięcy w klasztorze, lecz ponieważ zakonnicy rzadko się pokazują obcym osobom, dwaj bracia nie widzieli się wcale.

Pan de Lostranges i Walenty w powrocie do Oligny, przechodząc wśród ciemnych lasów, nie=

uprawnych odłogów, i rozległych krzaków, otaczających klasztór, udzielali sobie wzajemnie wrażeń, jakich w tém świętém miejscu doznali. I bawiąc się ciągle rozmową, powrócili do zamku.

Zamieszanie i smutek oczekiwał ich w domu. W czasie ich nieobecności służący wszedłszy do pokojów Walentego, znaleźli drzwi otwarte, zamki poodrywane, wszystkie szafy wypróżnione, a mianowicie tę, w którćj znajdował się cały majątek pana de Beaumont. Nie spotkali jednak nikogo, i nie mogli się domyślić, ktobyć mógł tę kradzież popełnić. Walenty dowiedziawszy się o tym nieszczęśliwym wypadku zaledwie rozumu nie postradał; baron wziął go naówczas za rękę, i spoglądając na Genowefę, która szczerze żałowała swego narzeczonego, rzekł:

—U ludzi naszego stanu, panie de Beaumont, podobne nieszczęście jakie pana spotkało, ni zrywa wcale stosunków, lecz owszem ściślejszemi je czyni, pojutrze podpiszemy umowę przedślubną.

Walenty ścisnął z uczuciem rękę barona, a ten mówił daléj:

—Teraz należy nam się udać do Alencon aby zrobić zaskarżenie, tymczasem jednak nie traćmy nadziei abyśmy nie mieli odzyskać kiedyś majątku, który pan utraciłeś.

Nazajutrz, kiedy przywołany z miasta notarjusz zajęty był z baronem de Lostranges i panem de Beaumont układaniem różnych warunków kontraktu, wszedł służący i oznajmił, iż przybył do zamku kramarz z klejnotami, i pyta się czyliby pan baron nie zakupił co u niego.

—Ach! mój drogi ojcze, rzekła Genowefa, kup dla mnie jakie nowe klejnoty.

—Bardzo chętnie, drogie dziécię, niech przyjdzie kramarz.

Walenty zadrżał na widok jego, gdyż poznał żyda Andrzeja, któremu sprzedał niegdyś swą szpilkę; żyd poznał go także i przywitał skromnie, nie uważał jednak na znaki, które mu czynił Walenty skłaniając go do milczenia.

Genowefa wybrała niektóre kosztowności.

— A pan baron nie raczy kupić co dla siebie? oto łańcuch złoty bardzo gustowny, najmodniejsze pierścienie różnego rodzaju, szpilki pięknéj roboty; oto jedna z nich brylantami wysadzana, najpiękniejsza z całego mojego zbioru, i stanowiąca największą część mego majątku.

Pan de Lostranges pochwycił za szpilkę, którą poznał iż była jego.

— Walenty, rzekła Genowefa, czy się czujesz być słabym?

— Tak jest, słaby jestem w istocie...

— Zbladłeś pan okropnie, rzekł notarjusz.

Baron nic nie słyszał.

— Od kogo masz tę szpilkę, rzekł do kramarza.

— Zaręczam panu baronowi, iż złoto w niéj jak najlepsze, a brylanty warte 25000 franków.

— Jakim sposobem ta szpilka dostała się do rąk twoich?

— Ja jestem uczciwym kupcem, panie baronie, i mogę dowieść, iż ją kupiłem i zapłaciłem bardzo dobrze.

— Od kogo?

— A od pana de Beaumont który tu jest przytomny, zaraz po jego powrocie do Francji...

— To fałsz! zawołał Walenty.

— Oto pokwitowanie na 20,000 franków podpisane przez pana Walentego de Beaumont. O ja zawsze mam wszystko w porządku jak należy.

Nastąpiła okropna chwila milczenia, nakoniec baron pożegnał kramarza, zostawiwszy mu szpilkę, i notarjusza, prosząc aby pamiętał odwiédzić go kiedy, potém rozdarł leżący na stole kontrakt, i z groźném spojrzeniem wskazał drzwi palcem Walentemu.

Tenże posłusznym był machinalnie i oddalił się drzwiami wychodzącemi do parku, w końcu którego płynęła Sartha; gdy przepływał rzekę, kapelusz upadł mu z głowy, i uwiązł w nadbrzeżném sitowiu. Na drugiéj stronie zatrzymał

się na chwilę i usiadł; przez te kilka minut tysiące myśli sciérało się w jego głowie. Bogu tylko są one wiadome. Skoro powstał, zawód bankiera Walentego de Beaumont skończonym został. Dawny mularczyk nie zatrzymując się poszedł prosto do klasztoru Trapistów, zkąd nie wyszedł już wcale.

sie na chwilę i usiadł; przez te kilka minut tysiące myśli ścierało się w jego głowie. Bogu tylko są one wiadome. Skoro powstał, zawód bankiera Walentego de Beaumont skończonym został. Dawny mularczyk nie zatrzymując się poszedł prosto do klasztoru Trapistów, zkąd nie wyszedł już wcale.

W MORTAGNE.

VI.

Pomiędzy miastami Aigle i Mortagne, w departamencie Orny, w równéj odległości od dwóch gościńców prowadzących do Paryża z Cherburga i Brestu, w rozległéj dolinie na zachodnim brzegu lasu Perhe, wznosi się w zupełnéj samotności, jakby odcięty od reszty

świata, klasztór Trapistów, otoczony pagórkami i drzewami.

Właściwy klasztór jest zupełnie kwadratowy, o dwóch piętrach, z obszernym strychem. Zbudowany w ten sposób jak wszystkie tego rodzaju domy; przy wnijściu wielki portyk, na którym obraz Matki Boskiéj z podpisem łacińskim. „Domus Dei beati qui habitant in ea“ obok niego stancyjka odźwiernego; wewnątrz znajduje się kruchta, sala gościnna, pokoje przeznaczone dla podróżnych, kościół, refektarz, laboratorjum czyli pracownia, bibljoteka, sypialnia, łaźnia, sala chorych i apteka, ganki rozciągają się wzdłuż murów wewnętrznych kwadratu, wśrodku którego jest podwórze.

Gdy kto z obcych przybędzie do klasztoru, braciszek odźwierny otworzywszy drzwi, pada przed nim twarzą na ziemię mówiąc: — pobłogosław mnie, potém prowadzi go do sali przeznaczonéj na przyjęcie podróżnych, i idzie zawiadomić dwóch zakonników, których obowiązkiem jest, przyjmować zwiedzających ten klasztór.

Sala ta jest godną uwagi, ze względu jéj nadzwyczajnéj skromności, i zdań wyjętych z Pisma Świętego, które można czytać po wszystkich ścianach; nim przyjdą dwaj zakonnicy, prowadzący was braciszek odźwierny wskaże wam na karcie przybitéj do muru ostrzeżenie dla podróżnych, którém upraszają najpokorniéj, aby unikać, o ile można, spotkania się z zakonnikami, i wrazie potrzeby jakiéj udawać się tylko do braciszka gospodarza; aby nie dać poznać tego, gdyby kto postrzegł pomiędzy zakonnikami swego przyjaciela lub krewnego, aby udawszy się na modlitwę nie śpiéwać nigdy w Oratorium, i do miejsc przeznaczonych dla samych zakonników wchodzić tylko w towarzystwie braciszka gospodarza, aby zachować milczenie w tych miejscach gdzie ono jest nienaruszone, jako to w kościele, refektarzu, sypialni, na korytarzach i w kuchni; aby w klasztorze mówić zawsze głosem zniżonym dla nierozrywania uwagi zakonnikom, którzyby się w bliskości znajdować mogli, i mieć to przekonanie, iż z przykrością ofiarują tak prostą

żywność podróżnym, lecz że taka jest reguła zakonu.

Dwaj zakonnicy, którzy się tygodniowo mieniają, przybywszy do sali gościnnéj, padają także przed podróżnemi twarzą na ziemię, potém prowadzą ich korytarzami aż do kościoła aby oddać cześć świętemu Sakramentowi. Po krótkiéj modlitwie odprowadzają ich znowu do sali i oddają staraniom braciszka gospodarza, który wskazuje przeznaczone im pomieszkanie, i zajmuje się z ukontentowaniem wszelkiemi czynnościami swego obowiązku. Każdy podróżny zajmuje mały pokoik nadzwyczaj skromny: jeden mały stolik, krzyż, jedno krzesło, kilka książek nabożnych, i łóżko bardzo czyste, otóż całe sprzęty.

Jadło ofiarowane podróżnym jest bardzo skromne, lecz w dostatecznéj ilości, i ze stosownemi przyprawami. Używanie mięsa wzbronione jest zupełnie wszystkim podróżnym przepisami zakonu, wyjąwszy jednak, gdyby słabość tego wymagała, natenczas podają je,

ale tylko w sali szpitalnéj, nigdy zaś w refektarzu. Podczas jedzenia jeden z braciszków najczęściéj gospodarz, czyta dla zgromadzonych nabożną książkę, aby zapobiedz lekkim rozmowom.

Niekiedy, na usilną prośbę niektórych osób pobożnych, przełożony wydaje pozwolenie wspólnego obiadowania z zakonnikami w głównym refektarzu.

Ponieważ Trapiści wyświadczają gościnność w duchu prawdziwéj miłości bliźniego, nie żądają wcale wynagrodzenia od podróżnych, przyjmują jednak pokornie ofiarowane dary przez osoby majętne.

Wejście do klasztoru zupełnie jest wzbronione kobiétom; lecz wybudowana jest kaplica zewnątrz murów, gdzie one mogą słuchać mszy w niedzielę i dni uroczyste.

Trapiści dzielą się na dwa rodzaje; na zakonników chóru, i braciszków. Pierwsza klassa mieści w sobie po większej części ludzi z dobrém wychowaniem, chociaż wielu z takich w pokorze ducha przeniosło tytuł braciszka; szcze-

gólném przeznaczeniem zakonników chóru jest śpiewanie modlitw brewiarza i odprawianie służby bożéj: nazywają ich także ojcami.

Braciszkowie są szczególniéj zajęci pracą ręczną; jednakowoż przytomni są często nabożeństwu w dzień i w nocy, i jeżeli podczas godzin na modlitwę przeznaczonych zajęci są pracą, czyli to wewnątrz klasztoru, lub też na polu, wywiązują się z swych obowiązków religijnych na głos, kiedy ojcowie w tym samym czasie pełnią je w kościele.

Ubiór zakonników chóru składa się tak w zimie jako i w lecie, z sukni z białego grubego sukna, ściśniętéj pasem skurzanym. Przy pracy noszą ne téj sukni skaplérz czarny, przy innych zaś obowiązkach wkładają zamiast niego tunikę z obszernemi, wiszącemi rękawami, równie z białego sukna; przy téj tunice znajduje się kaptur do nakrycia głowy, i to jest właściwy habit mniszy.

Braciszkowie noszą taką samą suknię, lecz z grubéj, brunatnéj materji, przykrytą pewnym rodzajem obszernego płaszcza.

Ileż to już ludzi sławnych urodzeniem, czynami wojennemi, naukami, pogrzebano w téj sukni tak prostéj! Wszełka próżność światowa nie ma tu przystępu. Kto tu wstępuje nazwisko swe nawet utraca, zowie się tylko bratem Marcinem, bratem Ambrożym, bratem Hilarym i t. d. Dzięki wiecznemu milczeniu które panuje w klasztorze, ludzie ci mogą przepędzić całe swe życie nie znając się wcale.

Niektóre szczegóły.

VII.

— Śmierć Trapisty jest to wielki widok, powiedział Chauteaubriand.

W istocie jest to widok mocne sprawujący wrażenie. W godzinie śmierci człowiek okazuje się takim, jakim jest rzeczywiście, nic nie kryje jego myśli, jego żądz, jego wiary. A tak

śmierć Trapisty jest równie jak jego życie piękną i świątobliwą. W oczach jego błyszczy słodkie natchnienie, możnaby powiedzieć iż doznaje już szczęścia błogosławionych; śpiéw braci jest najsłodszy dla jego ucha, a ręce jego wznoszą się ku Bogu, jakby chciał dziękować że go powołuje do siebie.

Na popiele i słomie kończy życie Trapista otoczony braćmi, którzy zdają się zazdrościć mu śmierci, jako najdoskonalszego szczęścia. Skoro już dusza opuści ciało, pogrzebanym bywa bez trumny, przykryty swym habitem mniszym na grobie umieszczają krzyż z drzewa czarnego, na którym wypisane jest imie zakonnika, jego wiek i data śmierci, potém wykopują do połowy dół dla pierwszego który ma umrzeć, i każdy z zakonników zdaje się pragnąć aby na niego koléj przyszła.

Wiele przesądnych wyobrażeń utrzymuje się jeszcze o regule tegó zakonu, dosyć jest przepędzić dwa dni w tym klasztorze aby przekonać się o błędzie. Powiedziano i powtórzono nie raz, że zakonnicy spotkawszy się wymawiają zawsze tę uroczystą przestrogę: — Bracie

trzeba umrzeć. — To się zupełnie z prawdą nie zgadza, gdyż w klasztorze panuje ciągłe i nieprzerwane milczenie. A nadto nie ma potrzeby téj przestrogi, aby zakonnikom śmierć przywodzić na pamięć; około nich wszystko jest przygotowaniem do niéj, i wraża im ciągłą i nieprzerwaną myśl przyszłego życia.

Powiedziano, że każdy Trapista kopie dla siebie grób i że w nim sypia, i to jest błędem mówiliśmy wyżéj iż zawsze jest tylko jeden grób do połowy otwarty: często zakonnicy odwiedzają go i bezwątpienia spoglądają na niego z tęskném upragnieniem.

Jest to błędem prawie powszechnym, iż sądzą że Trapiści są chudzi, słabowici, smutni! Z łatwością można się przekonać że to jest fałszywe wyobrażenie. Jeden z braci jest sławnym doktorem fakultetu paryskiego. W klasztorze znajduje się zawsze szpital, i Trapiści, pomimo swéj pogardy dla życia, pielęgnują chorych z prawdziwą miłością chrześcijańską, i z najżywszém współuczuciem. Godném jest jednak uwagi i to, że szpital bywa

bardzo często próżny. Jakoż nie ma w tém ani cienia prawdy żeby zakonnicy mieli być chudzi i słabowici, jakimi ich przedstawiają w romansach. Przybywszy do klasztoru zdziwieni jesteśmy, znalazłszy na twarzy jego mięszkańców wyraz niewymownego ukontentowania; cera ich jest świéża i rumiana, a sposób życia klasztorny nie wpływa bynajmniéj szkodliwie ani na fizyczny, ani na moralny stan ich zdrowia, gdyż widzieć można pomiędzy Trapistami ludzi podeszłego wieku cieszących się jeszcze zupełném zdrowiem, i pogodnego sposobu myslenia.

Utrzymują również że dla wielu z nich, po przyjęciu ślubów, reguła zakonu staje się uciążliwą i nieznośną. Ci którzy tak myślą, zapewne nigdy nie odwiedzili Trapistów, gdyż byliby się przekonali, do jakiego stopnia posunięte jest u nich przywiązanie do swéj reguły, i że nigdy zakonnik nie pomyśli nawet o odstąpieniu od niéj w najdrobniejszéj okoliczności. Rozbierzemy jeden dzień życia Trapisty, a czytelnik będzie się mógł przekonać, iż ci ludzie, których tak spotwarzono, dostąpili

najwyższego stopnia doskonałości, jaką tylko człowiek osiągnąć może.

W dni uroczyste o północy, a w inne dni o pierwszéj lub pół do drugiéj, dzwonek klasztorny wzywa na poranne nabożeństwo. Natychmiast wszyscy zakonnicy opuszczają deskę służącą im za posłanie, na któréj śpią całkiem ubrani, i udają się do kościoła; jest to widok poważny i wspaniały, kiedy oni stanąwszy we dwa szeregi, przy słabym blasku jednéj tylko lampy, śpiewają chwałę Panu głosem rozlegającym się, a naokoło nich wszystko jest jeszcze we śnie pogrążone. Nie ma tam okazałości kościołów Paryża, ani tego rażącego przepychu oddalającego z myśli szczytną religją Chrystusa i Śgo Piotra, ani złoconych ozdób, które mimowolnie przypominają niedostatek i nędzę tylu ubogich.

Po nabożeństwie porannem i prymarji następuje spowiedź powszechna. Natenczas każdy spowiada się przed swymi braćmi z błędów przez cały dzień popełnionych, i ze złych myśli które zajmowały

jego umysł. Jeżeli który z zakonników zapomni wyznać błędu mimowolnie popełnionego, a któren z jego braci wie o tym grzechu, wówczas przypomina go tenże na głos, a winny dziękuje mu za to, i przez cały dzień modli się za niego.

Po pewnym przeciągu czasu, przeznaczonym na czytanie i mszą, zakonnicy udają się do pracy. Jedni są kowalami, i sami przyrządzają narzędzia służące do różnego rodzaju prac klasztornych, drudzy zajmują się mleczywem, i robią séry, uznane za wyborne przez podróżnych z najwykwintniejszym smakiem; ci znowu pieką chléb, którego większa część biédnym rozdawaną bywa: tamci zajmują się kuchnią, tak prostą i pożywną; tutaj pracują introligatorowie, tam drukarze, gdyż Trapiści chcąc zapobiedz konieczności wchodzenia w stosunki z miastem, zaspakajają wszystkie swe potrzeby w samym klasztorze. Wszystkie te prace odbywają się wśród głębokiego milczenia. Jednakże są okoliczności w których kilka słów są konieczną potrzebą, lecz słowa te wyma-

wiane są, albo przez przełożonego do zakonników lub obcych, albo przez braciszka gospodarza do podróżnych; lub też przez szafarza w jego stosunkach z braciszkami i podróżnymi. Po téj pierwszéj części pracy dziennéj, udają się zakonnicy na nabożeństwo zwane sekstą; potém znowu pracują aż do drugiéj godziny. O téj godzinie ma miejsce ich obiad; przez cały ciąg którego kilku zakonników odmawia długie modlitwy.

Obiad składa się z jarzyn gotowanych w wodzie z solą, z ośmiu uncji chleba razowego, i wody czystéj za napój. To jest cała żywność Trapistów przez dwie trzecie części roku, a podczas wielkiego postu ten skromny posiłek spożywają dopiéro o kwadrans na piątą. Przez resztę roku jedzą obiad o dwunastéj, a wieczorem lekką kolację, która składa się z czterech uncji chleba razowego, kilku kartofli lub buraków i małéj ilości séra.

Po tym posiłku udają się na nieszpory, potém następuje czytanie i medytacja. O szustéj

godzinie zakonnicy śpiéwają *salve regina* i udają się do sypialni.

Otóż jest dzień życia Trapistów.

Opisaliśmy jakie było życie w świecie Ryszarda poety, i Walentego bankiera, teraz skreślemy drugą część życia tych dwóch braci,

ŁZY.

VIII.

Człowiek postępuje ciągle wązką ściesẑką, która się zowie teraźniejszością; słaby wzrok jego widzi po obu jéj stronach przepaści. Przepaści niezmierne, jakiemi są przeszłość i przyszłość! Gdy jego rozum słaby ośmieli się badać ich głębię, przejęty zostaje trwogą, gdyż spostrzega

nieskończoność; lecz gdy człowiek taki jak Ryszard, mając serce pełne cnoty a życie pełne cierpień, w samotności i w głębokiém zebraniu myśli dosięgnie nieskończoności, ona go bynajmniéj nie przerazi, gdyż on spostrzega w niéj Boga potężnego, sprawiedliwego, i wiecznego, który karze i nagradza.

Ryszard po burzach swego życia, znalazł w klasztorze Trapistów spokojność tak słodką pociechę wlewającą, jak moralność Ewangelji; wiara jego na chwile osłabiona, odżyła znowu. W życiu rozmyślającém doznał szczęścia nieznanego dla większéj części ludzi; i położywszy w Bogu swą ufność, modląc się, pracując, rozmyślając, oczekiwał spokojnie śmierci jako największego dobrodziejstwa, które Bóg, oprócz życia, udzielić może człowiekowi.

Niekiedy wspomnienie o zaślepieniu tego świata, który go odepchnął od siebie, goryczą i smutkiem napełniało jego serce, wzdychał z żalu przypomniawszy sobie swój rękopism, lecz to już rzadko się trafiało i

myśli te powoli zagasły w jego głowie, jak gwiazdy w poranku.

Częściéj marzył o Genowefie, lecz uczucie jego dla niéj nie było miłością, było to coś tak czystego, jak pamięć Madony widzianéj we śnie, jak objawienie świętéj piękności dziewic nieśmiertelnych.

Walenty przybył do klasztoru jak zbrodniarz do miejsca schronienia; i z początku, zajęty przedmiotami które pozostawił w świecie, wykonywał niewolniczo pobożne ćwiczenia zakonu, pracował, kiedy pracowano, modlił się, kiedy się modlono, przeklinał żyda Andrzeja, kiedy inni rozmyślali. W klasztorze Trapistów wszystko mówi do duszy, a Walenty miał duszę zimną i nieczułą. Lecz gdy widział szczęście, które n cieszyć się zdawali wszyscy na około niego, zaczął zazdrościć i chciał go także doznawać. Przedsięwziął wygnać złe myśli z swéj głowy, chciał modlić się z zapałem, pracować modląc się, lecz serce jego było zanadto przepełnione występkami, aby wiara mogła znaleźć przystęp do niego; wątpił zawsze,

modlitwa jego nie zstępowała niżéj, jak tylko z muzgu do ust, serce jego pozostało zimne.

Pewnego dnia w kościele, kiedy zakonnicy stanęli we dwa rzędy dla śpiewania psalmów, Walenty, który został bratem Andrzejem, zaśpiéwał pierwszy tę skargę króla Dawida:

„Domine, ne in furore tuo arguas me: neque in ira tua corripias me.“

Wprost niego stojący Raszard, a teraz brat Ambroży odpowiedział: Quoniam sagittae tuae nfixae sunt mihi, et confirmasti super me manum tuam.“

Obadwa wznieśli oczy ku niebu, brat Ambroży aby ponieść Bogu w ofierze wszystkie swe przeszłe cierpienia, brat Andrzéj, błagając o wiarę; i dwaj bracia poznali się.

Psalm ciągnął się daléj, a Ryszard przez cały dzień ten był szczęśliwym, gdyż sądził że brat jego, przybywszy w to miéjsce, doznawać powinien tego samego szczęścia co on: Walenty był ciągle zamyślony.

Skoro noc nadeszła i wszyscy zakonnicy we

śnie pogrążeni byli, Ryszard uczuł się być dotkniętym w rękę; przebudził się, usiadł na swéj desce, i spostrzegł klęczącego zakonnika przed sobą, który wyrzekł słabym głosem:

— Mój bracie przebacz!

Ryszard położył palec na ustach, chcąc mu przypomnieć nienaruszone milczenie jakie slubowali.

Walenty powtórzył.

— Ryszardzie bracie mój, przebacz i pobłogosław mię! Ryszard wyciągnął ręce nad głową swego brata ciągle klęczącego, potém ten ostatni podniósł się; już miał udać się na swe twarde łoże, kiedy Ryszard pochwycił go za rękę, i ulegając wewnętrznéj niezwalczonéj potędze, przyciągnął go do siebie i uściskał. Gdy dzwonek wezwał na poranne nabożeństwo stali oni jeszcze zalani łzami ściskając się nawzajem,—i rozłączyli się.

W jakiś czas późniéj Walenty zasłabł, i wkrótce téj saméj słabości uległ Ryszard; ten ostatni widział wzrastającą chorobę ze słodką

nadzieją, dla niego śmierć była chwilą mroku, która rozdziela noc bytu ziemskiego od dnia jasnego wieczności. Walenty przybliżającą się śmierć uczuwał z przerażeniem, on wątpił zawsze, a powątpiewanie przy końcu życia jest bardzo okropne.

Nakoniec tego samego dnia, o téj saméj godzinie, skończyli życie dwaj bracia. Weszli na świat w jednym czasie, i opuścili go również w jednym czasie; lecz bezwątpienia, gdy drzwi wieczności otworzyły się przed nimi, rozdzielili się, jeden udał się po nagrodę, drugi po karę, gdyż Bóg jest sprawiedliwy.

ŻAKONCZENIE.

Baron de Lostranges umarł w Oligny, w trzy lata po wydaniu Genowefy za siostrzeńca pana de Lapariviere, młodzieńca pięknych nadziei i znakomitego urodzenia; młody markiz de Saint-Saulieu przepędza każdą zimę w Paryżu, a Genowefa jego małżonka, jest jedną z najbardziéj

zajmujących kobiét, jakie spotkać można w teatrach opery, i włoskim. Szczęśliwa Genowefa ani domyśla się przywiązania biédnego mularczyka, nazywającego się Ryszardem, który umierając modlił się jeszcze za nią; jéj to nawet nigdy do myśli nie przyjdzie!

Juljan dawny służący barona, zbogaciwszy się sposobem bardzo dwuznacznym w służbie różnych panów, pojął za żonę córkę jakiegoś kupca, i żył bardzo przyzwoicie, nie doznając wcale wyrzutów, ze względu biédnego mularczyka, którego cierpień był po części przyczyną.

Coupurd zwróciwszy policji jednę część skradzionych piéniędzy panu de Beaumont, i roztrwoniwszy resztę, zaczął przedawać pilniki przy ulicy Vivienne; poznał się z panem Dalby, który teraz utrzymuje tajemną łoterję.

Po Ryszardzie poecie pozostało tylko jego imie zapisane w rejestrze więzienia.

KOPALNIE ZŁOTA.

Droga prowadząca z Simplon do jeziora Maggiore przecina kilka razy pięknemi mostami Coccią, strumyk, który daje swoje nazwisko dolinie. Przeszedłszy jeden z tych mostów, zwany mostem wielkiém, otwiéra się dolina Anzaska, położona u stóp góry Roza. — Wspa-

niała ta góra, która o 250 stóp ma być niższą od góry Białej, daje się widzieć z całéj prawie Lombardji, — ale dolina większym jeszcze jest przedmiotem ciekawości i podziwienia, ponieważ zawiéra w swém łonie najsilniejszy talizman... złoto.

Plinjusz zrobił wzmiankę o tych kopalniach, które musiały być kiedyś bardzo znakomite, bo senat rzymski zabronił używać w nich do roboty więcéj nad 5000 niewolników, z bojaźni ażeby posiadacze ziemscy nie stali się bardzo bogatemi. Późniéj nieco zatrudniano w nich 1000 robotników, ale dziś liczba ta bardzo jest ograniczona. — Jednak wszyscy mięszkańcy doliny, mają prawo szukania złota, a niektórzy z nich, z téj przyczyny m i n e r a l i zwani, ten mają jedyny sposób do życia.

Powiadano nam, że w czasie ciemnych i burzliwych nocy, ci m i n e r a l i oczekują na zjawienie się małych światełek okazujących się na pagórkach, a jeżeli rano mogą wynaleść dokładnie miejsce ich zjawienia się, są pewni że ich trudy będą wynagrodzone, i że znajdą złoto.

Ta romantyczna powieść zaostrzyła naszą ciekawość; mało jednak korzyści przyniosły nam zapytania w tym przedmiocie zadawane. Przecież w końcu znaleźliśmy na szczęście nasze Włocha, który pokazał się nam więcéj rozumnym; i nasi czytelnicy, jeżeli im się to podoba, mogą tak jak my, uznać przyczynę światełek burzy w Anzaska w tém, co opowiemy:

— Widziałem je sam, rzekł Włoch, różnią się one zupełnie od światełek błędnych. Dawniéj droga od Jeziora Maggiore do kantonów zachodnich Szwajcarji przechodziła przez dolinę Anzaska; trafiło mi się raz zatrzymać w jednéj chatce, w głębi najdzikszego wąwozu, dla schronienia się przed gwałtowną burzą. Niechcąc pozbawiać gospodarza jedynego łóżka, które posiadał, siadłem na wpół śpiący na ławce przy oknie, i wkrótce postrzegłem małe światełka dość blade, zdalcka na skałach. Sądziłem że widzę światło z okna jakiéj chatki, ale zastanowiwszy się, że ta część gór nie była zamieszkaną, podniosłem się z ławki i zapytałem jednego z mieszkańców domu, co by to być mogło.

Kiedy mówiłem, światełko nagle znikło, ale po chwili pokazało się w inném miejscu, jakby je kto obnosił na około skały.

Burza cały ten czas trwała z taką wściekłością, że groziła porwaniem i uniesieniem wraz z nami naszéj nędznéj chałupki, a noc była tak ciemna, że widokrąg zdawał się być połączony z niebem.

„— Otóż jeszcze! zawołałem, cóż to jest?

— To jest lampa Lelji, zawołał żywo jeden z synów mojego gospodarza; — ojcze obudźcie się. — Ach! Batista Vittorio! Lelja jest na górach.

— Na ten krzyk rodzina wstała z łóżka, i wszyscy cisnąc się do okna, wlepiali oczy w te światełka, które ciągle pokazywały się przez pewną część nocy, chociaż w długich przerwach. — Mieszkańcy chatki nie robili mi żadnéj trudności w opowiedzeniu wszystkiego, co wiedzieli o tych światełkach, pod warunkiem jedynie, ażebym milczał, kiedy się pokazują, i abym im pozwolił pilnie uważać

miejsca gdzie błyszczały. Ażeby uczynić moje opowiadanie zrozumialszém, muszę powiedzieć, że minerali i posiadacze gruntowi stanowią dwie klassy odróżniające się w dolinie Anzaska.

Zatrudnienie pierwszych, gdy robią sobie z niego rzemiosło, za haniebne jest uważane przez innych mieszkańców, którzy utrzymują się z pracy rąk i przemysłu; i rzeczywiście, obyczaje minerałów usprawiedliwiają powzięte o nich mniemanie, które inaczéj możnaby uważać za uprzedzenie.

Są to ludzie podlegli pijaństwu, zwadliwi, czasem bogacze, a czasem umierają z głodu. Słowem, podlegają oni wszystkim udręczeniom moralnym i fizycznym, jakich doznają ludzie nie mogący rachować na korzyści z ciągłéj pracy, jak gracze naprzykład.

— Jednak są to pięknego szczepu ludzie, odważni, śmieli, a czasem bardzo piękni. Hojnie wydają co im łatwo przychodzi. I chociaż czasem kładą się spać umiérając z głodu, jak

dzikie zwierzęta tarzające się na słońcu, nazajutrz, jeżeli im los sprzyja, przechadzają się wesoło i w świetnym stanie, — prawdziwi panowie doliny. Jako ludzie, czują m i n e r a l o w i e niekiedy w swém sercu miłość ku płci niewieściéj; chociąż rzadko otrzymują rękę, czasem jednak potrafią zająć serca dziewic Anzaski.

Jeżeli miłość przywiedzie ich do rozpaczy, znajdują dzikszych jeszcze towarzyszów od siebie, którzy zawsze są gotowi przyjąć do swego grona ludzi śmiałych. Zmieniają rzemiosło, i udają się na wielkie gościńce w czasie ciemnych nocy, albo zaciągają się pod sztandary tych bandytów w całém znaczeniu, którzy rabują miljonami, a łupem ich są prowincje lub królestwa.

— Franciszek Martelli był najpiękniejszym z m i n e r a l ó w doliny. Był on dziki, przyznaję, lecz to jest charakterem jego szczepu; wiele jednak dobrych przymiotów wynagradzało w nim błąd ten tak dalece, że sami posiadacze ziemscy, a przynajmniéj ci którzy nie mieli có-

rek na wydaniu, lubili jego towarzystwo. Franciszek śpiewał z taką przyjemnością, z tak miłą tęschnotą, że stare kobiéty, słuchając go, łzy wylewały.

Głos jego czuły i przejmujący wrażał się w pamięć od pierwszego razu, powtórnie usłyszany z nienacka, zadowolniał niejako wewnętrzne pragnienie.

Lelja tylko w dolinie nie słyszała śpiéwu Franciszka. Wszystkie inne młode dziewczęta, skrycie lub jawnie, pod tym, lub owym pozorem, zadowolniły swoję ciekawość. Była ona córką najbogatszego posiadacza w Anzaska.

Chociaż bardzo młoda, zaledwie szesnastoletnia, przymiotem jednak jedynaczki, i posagiem większym nad 1000 liwrów Austrjackich przyciągała uwagę wszystkich innych mieszkańców.

Rysy jéj twarzy były piękne i regularne; a postać chociaż bardzo kształtna, tak była jednak drobną, jéj ruch tak bojaźliwy, tak dziecinny, że ją za dziecko uważano. Dziedziczką starego Niccoli nazywali ją zawsze krewni chcąc pobudzić swych synów do starania się o jéj

rękę, — sama Lelja była dla nich małą, nic nie znaczącą istotą.

— Jéj matka wydając ją na świat umarła, i przez długi czas cudownemi prawie środkami tylko zdołali utrzymać przy życiu to dziécię.— Nawet gdy przez staranie ciągłe ojca wyszła z niebezpieczeństwa, stan jéj zdrowia można było raczej nazwać nieobecnością choroby, jak zdrowiem zupełném, chociaż zabytki dawnéj słabości objawiały się tylko drażliwością nerwową, która w kraju więcéj ucywilizowanym, uchodziłaby za wygórowaną delikatnośc uczucia.

Oddalona już niejako z towarzystwa innych młodych dziewcząt przez tę szczególność swego położenia, unikała go sama dla innych jeszcze powodów. — Jéj ciało było słabe i wątłe, lecz natomiast starała się wydoskonalić swój umysł. — Muzyka, którą lubiła namiętnie, odkryła jéj tajemnice poezji; i pomimo teorji niektórych szkół, poezja obudziła w niéj wstręt do związków z klasą nieukształconą i bez delikatności.

Jeżeli Lelja nie starała się usłyszeć śpiewu

Franciszka, czyniła to powodowana pewném przerażeniem instynktowém i wzgardą dla samego imienia jednego z tych zbrodniarzy minerałów. Słuchała opowiadania o tym człowieku z tém niestałém dalekiém zajęciem, jakie obudza w nas opis zwierzęcia z drugiéj półkoli, jego dzikość i okrucieństwo.

— Przyszedł nakoniec dzien w którym go biédna Lelja usłyszała. Była sama i podług zwyczaju siedziała w głębi ogrodu swego ojca zajęta pracą; śpiéwała tonem łagodnym i cichym, dla jéj głosu najwłaściwszym. — Ogród z jednéj strony był opasany żywo płotem, który ozdabiał szczyt głębokiego wąwozu, w głębi tego wąwozu płynął strumyk wartki i ponury, a daléj, więcéj jak o 500 kroków, łańcuch skał olbrzymich kończył widokrąg.

Jéj głos rzadko dosięgał echa skał; niekiedy jednak, przejęta uniesieniem, kazała powtarzać swe pieśni tym czarodziejskim minstrellom doliny. — Tego dnia, z zadziwieniem podobny skutek usłyszała, gdyż nuciła głosem tak słabym prawie jak westchnienie.

Zaśpiéwała drugą zwrotkę nieco mocniéj, — wyzwanie było przyjęte, i jakiś głos przyjemny i melodjiny przejął daléj ulubioną jéj piosnkę w tém miejscu, na którém przestała.

Z początku, chciała uciekać, lecz wkrótce zatrzymała się w chęci przysłuchania się daléj tym pieśniom, a naostatek, postanowiła przysunąć się powoli do płotu ogrodowego i zajrzeć w głąb przepaści, skąd ten głos zdawał się pochódzić.

Odkryła, że echem był młody człowiek, zajęty kierowaniem tratwy z biegiem strumienia, jaką mieszkańcy Alp zwykli przewozić na targ swe produkta; tratwa zatrzymała się w téj chwili przy brzegu, u stóp ogrodu. Młodzieniec wsparty na wiośle zdawał się popychać ją na środek strumienia, wzrok jednak swój zatopił w przestwor niebieski, jak gdyby upatrywał okazania się gwiazdy jakiéj; i Lelja była przekonaną, nie wiedziała sama dla czego, że on ją zobaczył pomiędzy drzewami wtedy gdy śpiéwała, i nie chcąc trwogi nabawić, użył

tego środka zwrócenia na siebie jéj uwagi.

Sądziła, iż taki był jego zamiar, a nawet zdaje się, że nie miał innego, bo popatrzywszy przez chwilę, odwrócił oczy z pomieszaniem, popchnął tratwę, i zniknął wkrótce uniesiony z szybkością biegiem strumienia.

Życie Lelji było tak spokojne jak śpiące wody jeziora, które mały obłoczek może zaćmić, a skrzydło owadu poruszyć. To małe wydarzenie dało jéj powód do rozmyślania, i wiele słodkich marzeń zajęło jéj szesnastoletnią wyobrażnią. Zapłonęła się ze wstydu, wspomniawszy że ten młody człowiek patrzył na nią tak długo, i oddalił się potém nie mówiąc z nią, zwróciwszy na siebie jéj uwagę. Delikatność uczucia widziała w tym podstępie, jakiego użył chcąc oszczędzić jéj zadziwienia, a może nawet przestrachu, a skromność w pomieszaniu, z jakiém odwrócił swe oczy.

Tydzień upłynął nim ujrzała ona znowu Appolina swéj młodéj wyobraźni. Zdawało się, iż wczasie téj przerwy zaznajomili się bliżéj;

gdyż przywitali się, — za drugim razem mówili do siebie, — a nakoniec poznali się zupełnie. Żadnéj tajemnicy nie było w ich rozmowie. On był zapewne synem jakiego dzierżawcy z górnych okolic, i wieści o dziedziczce starego Nikkoli, równie jak wielu innych, sprowadziły go w te strony. Nie znał książek, lubił poezją raczéj dla muzyki, jak dla niéj samėj, lecz cóż to znaczy? — jeżeli nie mogli pojąć umysłem cudownych zjawisk natury, serce ich przejęte było wdzięcznością dla Stwórcy. Był mężny, śmiały, a to jest pięknością w oczach kobiéty słabéj i bojaźliwéj. Wdziérał się na szczyty gór, przeskakiwał przepaści ze zręcznością kozy skalnéj. Piękny, odważny i dumny, złożył u nóg jéj swe hołdy z iskrzącemi oczyma i pałającém obliczem.

Świat dotąd tak jednostajny, tak pusty, tak nudny, stał się rajem teraz dla Lelji. Jedna rzecz ją tylko dręczyła: podług jéj szesnastoletniego rachunku znali się już tak dawno i tak dobrze, — wyznali sobie swe uczucia, — dali sobie słowo nawzajem, — a

jednak kochanek jéj niepowiedział nigdy swego imienia. Rozważywszy to Lelja, żałowała swego pospiechu, lecz już było zapóźno; postanowiła więc za pierwszém widzeniem się, wydrzeć mu tajemnice jego stanu i imienia.

— Moje imie? odpowiedział na prędkie i szczere zapytanie Lelji, poznasz je późniéj.

— Ja nie chcę zwłoki, potrzeba mi to powiedzieć natychmiast, albo najpóźniéj jutro w wieczór.

— Dla czego jutro w wieczór?

— Ponieważ jutro piękny i bogaty młodzieniec, którego mój ojciec mile przyjmuje, żądać będzie mojéj ręki; nie dając słusznych powodów, nie mogę niszczyć zamiarów najmilszych sercu jedynego dobroczyńcy, który mi pozostaje. Ach! ty go nie znasz; majątek jest niczem dla niego w porównaniu ze szczęściem córki. Możesz być biédnym, lecz bądź dobrym i uczciwym, a uzna cię godnym Lelji.

Wieczór ciemny był dosyć, jednak Lelji zda-

wało się iż widziała uśmiéch na ustach swego kochanka, kiedy mówiła do niego, nadzieja szczęścia zabłysła w jéj umyśle, i serce jéj mocniéj bić zaczęło.

Przez kilka chwil milczał, zdawał się być moeno wzruszony, nakoniec odpowiedział głosem zmienionym:

— A więc jutro w wieczór.

— Czy tu!

— Nie! w domu twojego ojca i w przytomności spółzalotnika.

Nazajutrz ze zwykłemi w takich okolicznościach w dolinie uroczystemi obrządkami, przedstawiony został Lelji narzeczony, o którym mówiła, i prosił o pozwolenie starania się, a raczéj, — bo niepozwolono tracić czasu młodym dziewczętom Anzaski, —prosił o jéj rękę.

Był to w rzeczy saméj związek podług myśli starego Nikkoli, ponieważ najlepszym był, jaki można było upatrzyć w całéj okolicy. Młody człowiek był bogaty i rozsądny aż do oziębłości. — Czegóż więcéj może ojciec żądać?

Lelja opóźniała jak mogła najdłużéj swą obecność przy drzwiach domu, gdzie ją oczekiwali starcy dwóch rodzin. Ubierając się z ociąganiem, spoglądała ciągle przez żaluzje, skąd mogła widzieć wielką drogę i dwie rodziny zebrane na dole, a oczekiwanie śmierci się dla niéj równało. Jakże przykre myśli dręczyły ją w tym przeciągu czasu! Mniemała prawie, że wszystko to co zaszło było marzeniem, widziadłem, wymysłem jéj poetycznéj wyobraźni, zmęczonéj samotnością — a być może i cierpieniami. Miałażby ona być igrzyskiem zwodziciela? Może uśmiéch, jaki spostrzegła na twarzy swego kochanka, oznaczał tylko wewnętrzne zadowolenie tryumfu, i może być że w téj chwili, ten, którego słuchała tak długo ze zbyteczną słabością, rozwesela swoich towarzyszy okrutnemi żartami z jéj pomieszania i rozpaczy? Nakoniec ulegając ojcu, zeszła na dół krokiem drżącym, z gorączkowym rumieńcem na twarzy.

Widok oczekujacych na nią osób przejął ją trwogą i pomieszaniem. Cofnęła się z bojaźnią

i serce jéj zlodowaciało, gdy nieruchome oczy wszystkich wlepione w nią zostały według dawnego zwyczaju z uroczystą powagą. Znajdował się tam jednak ktoś, którego oczy pomimo ścisłego wyobrażenia o *ceremonii*, jaśniały szczęściem, a ręce były ku niej wyciągnięte. Jej ojciec, wpatrując się z zachwyceniem przez kilka chwil w swą ukochaną córkę, ubraną w piękną białą suknię, przycisnął ją do serca i pobłogosławił z uniesieniem.

— Moja córko! rzekł on ze łzami w oczach, uśmiéchając się, bardzo jest przykro dla starca myśléć o rozłączeniu się z tém wszystkiem, co kocha na świecie; lecz prawa natury powinny być szanowane. Młodzieńcy kochać będą do skończenia świata, i młode dziewczęta również, a nowe pokolenia powstawać będą z ich połączenia. Taki jest los dziewcząt, — takie ich przeznaczenie. Szesnaście lat czuwałem nad tobą, jak skąpiec nad swém złotém; a teraz opuszczam cię — skarbie mojego życia. Jedyném mojém żądaniem jest tylko, abyś mi była posłuszną, posłuszną z radością w sercu, według zwyczaju naszych przodków, i praw naszych panów. Potém zostaw starca

jego przeznaczeniu, jakie mu niebo naznaczy. On uczyni swą córkę szczęśliwą, a wnuki błogosławić będą jego pamięci. Spełnił on już czarę życia swego,—spełnił ją aż do dna, i dzięki jego córce ukochanej! znalazł słodycz na spodzie, —słodycz aż do ostatniéj kropli.

Lelja rzuciła się z płaczem w objęcia ojca. Płakała tak długo i tak gorzko, że krewni i goście zapomnieli o formach obrzędowych i mocno nad nią ubolewali. Gdy podniosła głowę, twarz jéj nie była już zroszona łzami, pokryła ją białość kordaglijskiego marmuru.

Szmer współczucia rozszerzył się pomiędzy obecnemi, i mówiono między sobą: „Biédne dziécię, zawsze tak delikatne, ciągle dawna słabość.“ Ojciec strwożył się, i chciał skrócić uroczystość, która zdawała się obudzać nerwowe cierpienia córki.

— Już dosyć tego, rzekł, wszystko za chwilę będzie skończone. Leljo, czy przyjmujesz tego młodzieńca za swego narzeczonego?— Jedno tylko słowo moje dziecko i wszystko już się skończy.

Lelja naprożno usiłowała mówić, — spuściła głowę tylko na znak zezwolenia.

— Panowie, rzekł Nikkoli, moja córka przyjęła, dość na tém, przywitaj swą przyszłą mój synu, a potém wejdziemy do domu i wypijemy za wasze zdrowie.

Lelja nie odpowiedziała, zrobił uwagę jeden stary i zimny formalista, krewny narzeczonéj.

— Odpowiedz więc moja córko, rzekł Nikkoli, rzuciwszy rozgniewane wejrzenie na tego, który mówił. Mów, wszakto tylko małe słówko, —mów.

Blade i suche usta Lelji otworzyły się już aby wykonać ten rozkaz, gdy jakiś człowiek, wysadziwszy z gwałtownością drzwiczki w parkanie będące, stanął nagle w pośród zgromadzenia.

— Nie mów, zawołał, ja zabraniam!

Lelja rzuciła się ku niemu z krzykiem stłumionym i byłaby upadła w jego objęcia, gdyby ją ojciec nie wstrzymał.

— Co to znaczy? spytał Nikkoli głosem ponurym, czego żądasz tutaj, ty zbrodniarzu, pijaku!

— Nie obrazisz mię, rzekł natrętnik, gdybyś mi nawet pluł na twarz. Przychodzę prosić o twą córkę w małżeństwo.

— Ty! krzyknął ojciec rozgniewany.

— Ty! powtórzyli krewni, jedni z zadziwieniem, drudzy ze wzgardą lub szyderstwem, każdy stosownie do swego charakteru.

Wstrzymajcie się, rzekł ten sam stary formalista, który już raz się odzywał, zaręczyny rozpoczęte przy kłótni nigdy nie kończą się małżeństwem. Prosić o rękę młodéj panny nie jest zbrodnią, ani też hańbą; niech sama odpowie, a on natenczas oddali się w pokoju.

— Dobrze mówi, rzekł najprzezorniejszy ze starców. Odpowiedz moje dziecko, odpowiedz, i niech ten człowiek ztąd odejdzie.

Lelja bladła i czerwieniła się koleją; — postąpiła krok naprzód, cofnęła się znowu, spojrzała bojaźliwie na ojca, — nakoniec stanęła jak wryta, przycisnąwszy złożone ręce do swych piersi, jak gdyby chciała przytłumić bicie swego serca.

— Moja córko! rzekł stary Nikkoli, wziąw-

szy ją za rękę, i z trudnością gniéw w sobie hamując, czy wiesz jego nazwisko?

— Nie!

— Nie? — Zuchwalcze! Zbrodniarzu! precz ztąd! — ty moja córko pozwól ucałować twarz swą twemu przyszłemu małżonkowi, gdyż zwyczaj naszych przodków winien być zachowany, a ja zajmę się wypędzeniem tego włóczęgi.

Ona postąpiła machinalnie, lecz gdy jéj narzeczony z otwartemi rękoma przybliżył się ku niéj, odskoczyła nagle, i chwiejąc się zmierzała ku nieznajomemu.

Zatrzymaj się! zatrzymaj się! wołali krewni, jesteś szalona, nie wiesz co czynisz. — to Franciszek *Minerało*!

Już była przy nieznajomym, który ciągle stał nieruchomy: — skoro to nieszczęsne imie doszło jéj uszu, upadła bez przytomności w jego objęcia.

Trudno opisać zamięszanie, jakie nastąpiło. Krewni wspólnemi siłami starali się zatrzymać ojca, który chciał zamordować na miejscu *minerała*. Franciszek stał przez jakiś czas z

założonemi rękami, pogrążony w ponurém milczeniu i smutku, lecz gdy Nikkoli wysilony zaprzestał już rzucać na niego przekleństwa i złorzeczenia, natenczas śmiało przystąpił do niego i rzekł:

— Od ciebie wszystkie te zniewagi znieść mogę, wiesz dobrze, że jeżeli zasługuję na niektóre zarzuty, to moje nieszczęśliwe położenie jest bardziéj tego przyczyną, niżeli mój błąd własny. Jestem zbrodniarzem, jeżeli nim jest ten, kto karze zuchwałych i za wzgardę wzajemnością się wypłaca. Ale żaden człowiek nie może być nazwany włóczęgą, gd trzyma się pomięszkania swych przodków i ich rzemiosła. Lecz to wszystko mało znaczy, — to tylko są słowa; rzeczywiście zarzucać mi tylko możesz iż jestem ubogi; to silny zarzut! Gdybym chciał wziąść twą córkę bez posagu, mógłbym to uczynić bez zezwolenia waszego, lecz wolałbym ją raczéj zostawić temu człowiekowi bez duszy, niżeli wystawiać istotę tak czułą, tak wątłą, na niedostatek i kłopoty życia ta-

kiego jak moje. Dla tego proszę nie tylko o córkę ale i o posag, jakikolwiek on będzie; ty masz równie prawo żądać, abym nie przedstawił się z próżnemi rękami. Ona jest młoda, nic nie nagli jéj małżeństwa. Dozwól mi jeden rok zwłoki, jeden rok tylko, oznacz jaką słuszną summę, i jeżeli w czasie oznaczonym nie wyliczę jéj w twoje ręce, zobowiązuję się odstąpić od wszelkich praw, jakie wspaniałomyślny wybór twéj córki nadał mi do jéj ręki.

— To jest słuszne żądanie, rzekł starzec, który już pierwéj mówił. W każdym razie upłynąłby rok między zaręczynami a rzeczywistém małżeństwem. Jeżeli ten młody człowięk, od dziś za rok, przed uderzeniem północy, złoży tu na stole w monecie brzęczącéj, w złocie, lub rudzie złotéj, taką samą summę, jaką ja gotów jestem wyliczyć za moim wnukiem' w imieniu wszystkich odpowiadam, iż nie będziem na przeszkodzie kaprysowi młodéj dziewczyny, byleby tylko on trwał tak długo, i co się tycze małżeństwa, jéj wola będzie miała pierwszeństwo przed wolą i życzeniem ojca. Summa wynosi tylko 3000 liwrów!

Pomiędzy krewnemi powstał śmiéch wzgardy i szyderstwa.

— Tak jest, tak, bardzo słusznie, mówili, jeżeli minerało przyniesie tę summę, zaślubi Lelją: Sąsiedzie Nikkoli, jest to bardzo słuszne żądanie; pozwól nam wstawić się za Franciszkiem, i daj mu swoje przyrzeczenie.

— Panowie! rzekł Franciszek z pomięszaniem a razem i z gniewem, summa 3,000 liwrów.....

Przerwano mu głośnym smiéchem.

— Jest to słuszne ządanie, powtórzyli krewni, zezwól sąsiedzie, zezwól!

— Zezwalam, rzekł Nikkoli ze wzgardą.

— Zgoda, odpowiedział Franciszek dumnie i z gniewem, i oddalił się ze strapioném sercem.

Wielka zmiana zaszła od tego dnia w charakterze i obyczajach Franciszka. Nie tylko unikał swoich dawnych towarzyszów rozpusty, lecz stronił nawet od innych przyzwoitych osób, które otwiérały mu dom swój, chcąc usły-

być piękny śpiew jégo, lub też powodowane jego lepszém nad innych *mineralów* prowadzeniem się. Każdego dnia pilnie oddawał się pracy. Zmiana pory roku nie stanowiła dla niego żadnéj różnicy. Nie chronił się przed burzą, a deszcz nie zatrzymywał go w chacie. Cały dzień widziano go na polach, w górach, lub nad brzegiem strumieni.

Rzadko słodził sobie nawet swe trudy szczęściem oglądania swéj kochanki. Złoto, — złoto było jego jedyną myślą w dzień, a marzeniem w nocy. Jeżeli wśród samotności spotkali się potajemnie w nocy, to tylko aby sobie powiedzieć kilka słów pociechy, i zwodniczéj nadziei. Ona nie mogła się inaczéj tłumaczyć jak tylko przez łzy i westchnienia, on zaś ukazywał się ciągle pełnym zapału i niemylnéj nadziei.

Upływały jednak dni i tygodnie, księżyc już nie raz odnowił bieg swój, i koniec roku zbliżał się, a większa część téj niezmiernéj summy spoczywała jeszcze w łonie gór. Z każdym dniem słabła nadzieja Franciszka; nie znajdo-

wał pociechy nawet w swych marzeniach. Smutny i wysilony, ściśnięciem ręki odpowiadał tylko na zapytanie Lelji o skutek pracy, potém uciekał z pośpiechem i zajmował się znowu swą robotą bez nadziei.

Wziąwszy pod rozbiór tajnie umysłu kobiécego, przedstawiają się naszéj uwadze osobliwe, a nawet wzniosłe widoki. Zdrowie Lelji nadwerężone mocno zostało opowiedzianemi wypadkami; policzki jéj zbladły, siły ją opuściły, a milczące lecz wymowne schadzki z kochankiem szkodliwy wpływ na nią wywierały. Im więcéj on jednak upadał na umyśle, im bardziéj szczęście ich przyszłe wątpliwości ulegało, tém więcéj ona okazywała odwagi, jakby naprzekór losowi. Nadzieje Lelji powiększały się w miarę wzrastającéj obawy Franciszka, a siły moralne opuszczające tego człowieka, dawniéj tak odważnego, zdawały się w nią przelewać.

Nawet siły fizyczne powiększały się z siłami umysłu. Nerwy jéj zaczęły nabierać więcéj mocy, lica okryły się rumieńcem, a w o-

czach żywszy ogień zajaśniał. W podobnych okolicznościach wyobraźnia zimna i leniwa mężczyzn nie znajdzie nawet w połowie tyle środków pociechy, co wyobraźnia kobiét. Utraciwszy nadzieję w szczęśliwym trafunku, udawała się do stóp óltarzy, do świętych i męczenników, najbardziéj czczonych w téj okolicy. Robiła śluby, odbywała pielgrzymki, starała się sny swoje odgadnąć, tłumaczyłe sobie nawet tajemniczą mowę gwiazd, tę poezję niebios.

Rok dobiegał już kresu swego, a wartość złota zgromadzonego przez Franciszka, jakkolwiek wielka do podziwienia, była jednak daleką — bardzo daleką od summy, któréj potrzebował. Ostatniego dnia straszliwa nastała burza, i noc ciemna i mroźna otoczyła pracującego jeszcze Franciszka. Znajdował on się na pochyłości wzgórza, naprzeciwko mieszkania Nikkolego; i gdy światło dzienne zagasło w dolinie, ze ściśniętém sercem ujrzał mocno oświecone okna w tym domu, i przekonał się że nie zapomniano o uroczystości.

Znaleziona odrobina złota zachęciła go do

dalszéj pracy, równie jak człowiek tonący chwyta się ostatniego źdźbła trawy, aby się wyratował. Lelja wróżąc ze snu wskazała mu to miejsce, na którém się znajdował, i zaklinała go, aby nie ustawał w poszukiwaniach aż do chwili, gdy daleki zégar kościelny zniszczy ostatnią ich nadzieję.

Szczęście zdawało się uśmiéchac do niego, znalazł małą prostopadle w głąb idącą żyłę złota, a być może, iż ona doprowadziłaby go do innéj pozioméj, formującéj obfity i łatwy do wydobycia pokład. Jednak praca była mozolną, i niepodobna było daléj ją prowadzić. Siły jego były prawie do szczętu wyczerpane, burza ciągle trwała z gwałtownością, a ciemność się co chwila powiększała. Uczuł że serce jego osłabło: drżał po całém ciele; zimny pot oblał czoło jego, i gdy ostatnie promienie słońca opuściły pochyłość góry, upadł bez przytomności. Nie wiedział jak długo znajdował się w takim stanie, gdy głos podobny do ludzkiego przywołał go do życia. Burza zwiększą niż pierwéj wściekłością panowała na górach i

ciemność była zupełną; odwróciwszy głowę, ujrzał w małéj od siebie odległości światło, serce jego znowu bić zaczęło, światło przybliżyło się do niego i postrzegł postać kobiéty w bieli.

Lelja! zawołał zdziwiony z przesądną bojaźnią, gdy poznał rysy swéj młodéj i pięknéj kochanki.

— Nie trać czasu na rozmowie, rzekła, możesz jeszcze wiele zrobić, bo mam najmocniejsze przekonanie, że się teraz nie mylę; podnieś się i nabierz odwagi! Pracuj, oto światło, usiądę u stóp téj skały i wspiérać cię będę modłami, gdyż siły moje nie pozwalają mi dać ci innéj pomocy.

Franciszek uchwycił znowu swój rydel ze wstydem, przejęty uwielbieniem dla téj odważnéj młodéj dziewczyny, i zajął się pracą z nowém natężeniem.

Miéj odwagę, rzekła Lelja, wszystko pójdzie dobrze. Pracuj! pracuj ciągle. Święci nas wysłuchają.

Raz tylko się odezwała głosem skargi.

— Ach! jakże mi zimno, rzekła, spiesz się mój przyjacielu, gdyż bez światła nie mogłabym powrócić do domu.

Niekiedy powtarzała tylko „ śpiesz się.“ Serce Franciszka zakrwawiło się, gdy wspominał o cierpieniach téj młodéj i delikatnéj istoty, i uderzał z rozpaczą o skałę, a echo daleko się rozlegało. Już był blisko miejsca, gdzie ona siedziała, i właśnie chciał ją prosić, aby przybliżyła trochę światło, gdy Lelja odezwała się:

Spiesz się, śpiesz się! godzina przybliża się. — Czekają na mnie — nie mogę zostać dłużéj. — Bądź zdrów! Franciszek spojrzał, lecz nie zobaczył już światła.

Jakże to odejście jest dziwne! Dla czego odeszła sama, wiedząc iż on nie może pracować w ciemności? Czyliż serce jéj zmieniło się w chwili, gdy straciła nadzieję? Co za myśl gorszka i nikczemna! Ona jednak wstrzymała Franciszka, który chciał już się rzucić za swo-ją kochanką. Zaledwie uszedł kilka kroków,

gwałtowne go drżenie przejęło, serce jego bić przestało, zemglał, i byłby upadł na ziemię, gdyby się nie oparł o skałę. Przyszedłszy do zmysłów, usiłował znaleść swą drogę wśród otaczającéj go ciemności. Do tego zupełnie miejsca, gdzie Lelja siedziała, dojść nie mógł, lecz był pewnym że znajdował się w bliskości; a nie widząc jéj białéj sukni. która przebijałaby się wśród ciemności, przekonał się, że jéj tam już nie było.

Nawet dla doświadczonych nóg Franciszka droga po górach, bez najmniejszego światła, była bardzo niebezpieczną, i może być że ciągłe zajęcie umysłu, jakiego ta niebezpieczna przeprawa wymagała, dozwoliło mu przedstawić się ojcu Lelji z przyzwoitą godnością.

— Nikkoli, rzekł do niego, przychodzę podziękować ci za twoje słuszne względem mnie postępowanie. Nie dotrzymawszy warunku włożonego na mnie, dzisiaj, podług umowy, zrzekam się wszelkich praw do ręki twéj córki.

Chciał już wyjść równie prędko jak weszedł, gdy stary Nikkoli uchwycił go za rękę:

— Pożegnaj nas przecie, rzekł głosem drżącym, nie opuszczaj nas z gniewem. Przebacz mi niesłuszne obelgi, jakie wyrządziłem ci podczas twych pierwszych odwiedzin. Od tego dnia uważałem na twoje postępowanie Franciszku.

I otarł łzę, spoglądając na jego suknią zmoczoną deszczem i błotem, i na twarz i na oczy obłąkane młodzieńca.

—Stało się, słowa mego dotrzymałem. Teraz zawołajcie moję córkę. Oby nieba raczyły nas zachować od jakiego nieszczęścia dzisiejszéj nocy!

Franciszek powoli oddalał się, chciał tylko ujrzeć koniec jéj sukni przed odejściem.

— Nie ma Lelji w pokoju, zawołano w głębi pomieszkania.

Franciszkowi serce biło gwałtownie. Cały dom był w poruszeniu. Słyszano tylko głosy zmięszane, wzywające ją po imieniu. Nakoniec starzec wyszedł przed dom, i położywszy rękę na ramieniu Franciszka, patrzył na niego z obłąkaniem.

— Czy wiesz co o mojéj corce? Mów —

zaklinam cię na imie Zbawiciela — powiedz mi; żeś ją zaślubił, przebaczę ci — będę cię błogosławił, — mów! — Dla czego to milczenie? Jedno tylko słowo, gdzie jest moja Lelja? mój skarb, moja nadzieja, moje dziécię! moje dziécię!

Minerało drżał cały; spoglądał naokoło siebie, jak gdyby nie pojmował tego wszystkiego, co zaszło; dreszcz śmiertelny przebiegł jego członki.

—Światła, zawołał, pochodni! Idźcie za mną wszyscy.

Wybiegł z domu; spiesznie połączyli sie z nim obecni z pochodniami, które jak meteory świéciły wśród burzy. Co do Franciszka, ten zaledwie był w stanie poruszać nogami, i chwiał się jakby odurzony winem.

Nakoniec doszli do poszukiwanego miejsca, i przy świetle pochodni dostrzegli jakąś rzecz białą u stóp skały; była to Lelja. Wsparta o skałę, miała jednę rękę na sercu, jakby osoba zimnem przejęta, a w drugiéj trzymała lampę, w któréj ogień już wygasł.

Franciszek rzucił się jéj do nóg z jednéj strony, a starzec z drugiéj, pochodnie rozlewa-

ły światło równe prawie dziennemu, ona była zimną, zimną jak marmur!

Biédny starzec, opuszczony, bez swego dziecięcia, chciał znaleźć chociaż przedmiot czułéj miłości swéj córki; ale nie widziano już nigdy Franciszka od czasu téj okropnéj nocy. — Niekiedy słyszeć się tylko dają głuche skargi na górach, i mieszkańcy mówią że to minerało szukający po skałach swéj kochanki, a wśród każdéj nocy burzliwéj, widzą jeszcze na górach lampę Lelji, przyświécającą szukającemu złota cieniowi swego kochanka.

KOBIETY.

Druga godzina po północy uderzyła na zégarze przy kościele Sgo Emeryka, a Paulina siedziała jeszcze przy dogorywającéj lampie, która przez pokrywę przezroczystą słabe rzucała światło na jéj twarz bladą. Najmniejszy szelest przejmował ją drżeniem. Podniosła się nagle, przysunęła do okna, i z niespokojnością

przysłuchiwała się spiesznym stąpaniom, które przybliżały się czasami ku jéj mieszkaniu, i ginęły potém w oddaleniu, unosząc z sobą jéj ostatnią nadzieję. Usiadła znowu wyrzekłszy stłumionym głosem: to nie on! Lecz wkrótce wstała, i poszła otworzyć pocichu drzwi pokoju, w którym spoczywało jéj ładne pięcioletnie dziécię, jéj szczęście, jéj cała pociecha na tym świecie. Pochyliła się nad jego łóżkiem, a usta jéj dotknęły się niewinnego czoła dziecięcia, zbrojąc się w odwagę i wytrwałość w namiętném macierzyńskiém pocałowaniu. Potém chciała się zająć robotą, lecz niespokojność nie dozwoliła jéj długo nią się zatrudniać.

Nakoniec drzwi od ulicy otworzyły się — i zamknęły potém ciężko za tym, który wszedł. Serce Pauliny mocno éj bić zaczęło. Zaledwie kilka chwil upłynęło, jakiś mężczyzna pokazał się we drzwiach pokoju. Człowiek ten mógł mieć lat trzydzieści, twarz jego była piękna i regularna, lecz już zniszczona, w spojrzeniu dawniéj śmiałém i przenikliwém wygasło życie, tak dalece rozwiązłość zmysłów i duszy

gwałtowny wpływ na niego wywarła. Mężczyzna ten był to Gustaw Robert, mąż Pauliny. Skoro ujrzał żonę swą, okazał żywe oznaki niecierpliwości.

— Jeszcze nie śpi, mruknął.

— Ja czekałam na ciebie, rzekła młoda kobiéta głosem słodkim i drżącym.

— Toś źle zrobiła, odpowiedział opryskliwie Robert, mordujesz się bezpotrzebnie, lecz już tego nie będzie więcéj.

Paulina wlepiła w niego swe wielkie, czarne oczy, chcąc odgadnąć myśl jego. Twarz Roberta była spokojna, wziął świécę i mówił daléj.

— Ponieważ często może trafiać się będzie, iż po północy powracać będę, kazałem dla siebie przyrządzić osobny pokój. A tak, nie będziesz przymuszona oczekiwać na mnie, a ja będę wolniejszy, dodał ciszéj.

— Gustawie, ty nie sam przyszedłeś..... Ona jest z tobą!

— Co to ma znaczyć?

— Ty to równie wiész dobrze jak ja, gdyż

bledniesz. Tak jest, ta która zniszczyła moje szczęście jest tutaj, moje serce mi to mówi! Wszedłeś na górę powoli, zatrzymałeś się przed temi drzwiami. Zdawało mi się nawet iż słyszałam dwa głosy..... Ach! ty się ośmieliłeś!

— Puść mię Paulino, pozwól mi odejść.

— Nie, rzekła młoda kobiéta z rozpaczą; nie opuścisz mnie, chyba będziesz chciał przejść po mnie. Nie okryjesz dom nasz takim wstydem i hańbą. Jeżeli nie możesz mnie kochać, przynajmniéj szanować mnie będziesz.

— Chcesz mnie przyprowadzić do ostateczności... Jeszcze raz powiadam, pozwól mi oddalić się.

— To więc ja, rzekła nieszczęśliwa, wypędzę tę kobiétę!

— Paulino!... na imie Boga! idź ztąd... albo nie ręczę za siebie!

Paulina uczyniła ostatnie wysilenie, aby go zatrzymać, lecz z przerażeniem i krzykiem upa-

dła na kolana: Robert podniósł na nią rękę swoją.

Skoro drzwi się zamknęły, rzekła głosem pełnym boleści: wszystko się już skończyło!

Paulina była córką poczciwego kupca, który zaszczytnie wychodził zawsze ze swoich wszystkich interesów, lecz nie posiadał tajemnicy zrobienia majątku. Po trzydziestoletniéj pracy zaprzestał trudnić się handlem, posiadając tylko szczupły zbiór swéj oszczędności. Obawiał się nie o siebie, lecz o swą ukochaną córkę. Paulina miała wtenczas lat ośmnascie: była piękną, lecz edukacja jéj ograniczała się tylko na początkowych wiadomościach. Cała jéj umiejętność zasadzała się na doskonałém prowadzeniu gospodarstwa swojego ojca, i utrzymywaniu książek podwójnéj buchalterji w ten sposób, iż w nich najmniejszéj omyłki spotkać nie można było.

Dla wszystkich, którzy ją znali, była ona miłą, młodą panienką, jednym z tych uśmiéchających się obrazów, jakie napotykamy prawie w każdéj mieszczańskiéj rodzinie; szczera, nieznа-

jąca zupełnie życia, namiętności i świata, była zwykłą kobiétą, to jest zdolną przywiązać się aż do poświęcenia. Ci zaś, którzy przedrzeć potrafili tę pospolitą zasłonę, przyznawali jéj wyższe przymioty, widzieli w niéj szlachetność uczuć, moc charakteru, i namiętną działalność duszy. Ileż to kobiét zrodzonych w niższéj klasie społeczeństwa, i żyjących według jéj zwyczajów, kobiét wzniosłych i szlachetnych — uchodzi uwagi ludzi takich, którzy sądzą tylko z powierzchowności; ani im na myśl nie przyjdzie, aby je podziwiać mieli, gdyż nie znają szlachetnego celu, do którego one dążą, ani dotkliwych ofiar, jakie ponosić muszą, aby go dosięgły.

Pewnego dnia ojciec Pauliny wszedł do jéj pokoju i rzekł:

— Moje dziécię, syn pana Roberta, bogatego kupca bławatnego kocha cię, i prosił mnie właśnie o twę rękę.

— Mój ojcze, ja mało bardzo znam pana Gustawa, jakim sposobem on, tak bogaty, mógł pomyśleć o biédnéj dziewczynie, która nic nie posiada?

— On kocha cię moje dziécię, to dosyć. Teraz los twój jest zapewniony, jestem szczęśliwy.

— Mój ojcze, inne miałeś zamiary. Utrzymywałeś, że mój krewny Juljan, pracując, dojdzie do zaszczytnego położenia w świecie, i..... powiedziałeś że tylko syn twojego brata byłby małżonkiem takim, jakiego pragnąłbyś dla swojéj córki.

— Tak jest, bezwątpienia, ja to powiedziałem..... lecz Juljan oddał się zapamiętale nowościom przemysłowym, które on nazywa postępem handlu. Nie odstraszają go najwątpliwsze przedsięwzięcia, i musiałbym ciągle obawiać się o niego, gdyby został moim zięciem. Wreszcie moja córko, to tylko dodam: w chwili, kiedy kończyłem mój zawód handlowy, ciągłe straty o mało nie przymusiły mię do ogłoszenia upadłości. P Robert udzielił mi pomocy, on mi pożyczył pieniędzy. Niepodobieństwem byłoby dla mnie oddać tak znaczną summę; twoje małżeństwo wszystko załatwi.

— Pójdę za pana Gustawa, mój ojcze.

Już była zamężną od roku, gdy jéj teść umarł. Robert, zasmakowawszy w zbytkach próżniactwie, nie chciał wziąść na siebie mozolnéj pracy, jaką mu jego ojciec pozostawił majątek swój zamienił na gotowiznę, najął piękne pomieszkanie przy jednéj z głównych ulic Paryża, i prowadził życie bezczynne, ktore musiało sprowadzić do jego domu nieszczęście i nierząd.

Wkrótce, pomimo tak słodkiego charakteru jego żony, gwałtowna miłość jaką czuł dla niéj wygasła, a jéj miejsce zajęły inne namiętności. W duszy jego występki nie mieściły się jeszcze, lecz tylko słabości i niestałość. Zbytecznem byłoby opowiadać, jakim sposobem towarzystwo ludzi bogatszych, przewrotniejszych i bardziéj zepsutych jak on, sprowadziło go z dobréj drogi, jak starano się obrócić w śmieszność jego przywiązanie do żony, jak ci ludzie, którzy wyżéj byli postawieni w świecie jak on pochlebiali jego dumie i zaślepieniu, stawiając go pozornie na równi z sobą; jak nareszcie jego

charakter zasłaby do oparcia się ponętom życia występnego, znalazł dosyć siły w namiętnościach, jakie w nim obudzono, do zerwania węzłów familijnych, i pogardzenia najświętszemi obowiązkami. Taka jest koléj wszystkich ludzi bez silnéj woli i stałych zasad moralności; nieszczęścia panują nad niemi, potok porywa i unosi wszystko to, co nie ma dość siły, aby się mu oprzeć mogło.

Paulina wkrótce poznała swe nieszczęście w całéj rozciągłości. Uzbroiwszy się w odwagę, walczyła z przeznaczeniem swojém. Nigdy z ust jéj skarga nie wyszła; zawsze okazywała pogodne czoło i słodki uśmiéch dla swéj rodziny i przyjaciół; a łzy swoje ukrywała w samotności i nie traciła ciągle nadziei. Lecz po wypadku, który opisaliśmy na początku naszéj powieści, serce jéj się zakrwawiło, i zawołała z rozpaczą: Wszystko się już skończyło!

Nazajutrz rano, przybycie wuja Pauliny, człowieka ze zdrowym sposobem myślenia, przerwało na chwilę jéj tak przykre położenie.

— Znowu łzy, rzekł, znowu nowe zmartwienia. Wczoraj byłaś tak spokojną.

— To nic mój wuju, to może dziecińtwo tylko.

— Dziecińtwo powiadasz, a jednak tak bladą jesteś, oczy twoje nabrzmiałe i zaczerwienione, a w twarzy i całéj postaci ślady głębokiéj boleści. Czyliż dziecińtwo może być powodem takiego zmartwienia? O! nie moja biédna Paulino; możesz w błąd wprowadzić twojego ojca, twoich przyjaciół, ale nie twojego wuja, tego, który wychował twą szanowną matkę i przeniósł na ciebie swą czułosć i przywiązanie, jakie miał dla niéj.

— Tak jest, mój kochany wuju, ty dodawałes mi pociechy w moich zmartwieniach; twoje przywiązanie udzielało mi odwagi,a szlachetność uczuc i poczciwość twoja niosły mi pomoc do spełnienia obowiązków moich.

— Tyś je wypełniła, i jesteś nieszczęśliwą!

— W istocie, bardzo nieszczęśliwą!

— Ach! rzekł starzec ze wzruszeniem, gdy-

byś zaślubiła, podług mego życzenia, twojego krewnego Juljana...

—Mój wuju, rzekła z żywością Paulina, już sześć lat jak jestem zamężną, a nie wymówiłam ani razu jego imienia, nawet w głębi duszy mojéj. Widziałam go ostatni raz przez godzinę, i pożegnał mię w rozpaczy, z tém przekonaniem, że nie był nigdy kochanym: skoro matką zostałam, dwa uczucia panowały w mojém sercu, miłość macierzyńska i przywiązanie do męża. Raz tylko, gdy przekonałam się że nie tylko zabawy oddalały męża mego ode mnie, lecz że jakaś niegodziwa kobiéta odjęła go szczęściu domowemu, pragnęłam śmierci... lecz gdy ujrzałam syna w moich objęciach, poznałam moje obowiązki, i odwaga wstąpiła znowu w serce moje.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj! jeszcze raz odwagi mi brakuje; obawiam się, żeby się już wszystko nie skończyło..... Lecz tak długo znosiłam cierpienia, że nie wiem czy mi siły starczą, do wytrwania nadal w takiém położeniu.

— Nie, nigdy, toby cię o śmierć przyprawiło; Ty nie wiesz jeszcze wszystkiego moje dziecie, nie wiesz że jego majątek, który mógł podwoić w handlu, pochłonięty został w domach gry i rozkoszy, i że wkrótce pozostaną mu tylko wyrzuty sumienia z przeszłości, i obawa o przyszłość.

— Wiem to dobrze. Nie obawiam się nędzy ze względu na siebie. Nie wniosłam mu majątku, nie mam prawa żądać go od niego Lecz mój syn! — On zgubi nasze dziecię, o nie drżę tylko!

— Paulino, wszystko stracone, jeżeli on nie zmieni swego postępowania. Mówiłem ci już dwadzieścia razy, jeden tylko jest środek ratunku, to jest rozwód.

— Rozwód!

— Tak jest, rozwód, on jest konieczny. Ty znajdziesz schronienie u mnie, mój mały majątek do ciebie należeć będzie, i....

— Nigdy mój wuju! Jak to! chcesz ażebym taką hańbą napiętnowała czoło moje? ażebym

cierpienia przez pięć lat tajone w duszy mojéj odkryła w obliczu trybunału? chcesz abym żądała uznania, że przysięga wyrzeczona u stóp ołtarza była igraszką, kłamstwem!... Mój wuju, jeżeli prawodawca ustanowił takie prawo, to tylko na przypadek, gdy zbrodnia i niesława stargały węzły małżeńskie; gdy żona ośmieliła się mieć poboczne, nieprawe związki, gdy mąż jest cywilnie umarły, lub uległ karze hańbiącéj; tak jest, w tych jedynie szczególnych przypadkach rozwód jest koniecznym; lecz w innym razie, zawsze on sprowadza nieszczęście, a często nawet niesławę na tych, którzy go żądają! Zabrania nam go honor i religja. Ten, który był naszym małżonkiem, nie może nam stać się obcym. Prawa ludzkie nie mogą sprzeciwiać się prawom Boga. A nadto, gdybym go opuściła, mój wuju, on by zginął! Gdyż pomimo całéj jego surowości dla mnie, pomimo wzgardy jaką okazuje dla moich cierpień tajemnych i wyrzutów, myśl o mnie zatrzymuje go nad brzegiem przepaści; ja bronię go przeciwko złym namiętnościom pomimo woli jego. Nie! bez

względu na me własne szczęście, nie powinnam go opuszczać. Towarzyszyć mu ciągle jest mojém przeznaczeniem; i trwać będę w mojém postanowieniu, chociażbym umrzeć miała przed osiągnięciem celu mojego.

— Lecz ty pragniesz twojego nieszczęścia?

— Ja wypełniam tylko mój obowiązek. Pozostaje mi jeszcze, mój wuju, ostatniego spróbować środka. Jeżeli będzie tego potrzeba, upadnę mu do nóg, i błagać go będę imieniem syna naszego. Niechaj Bóg raczy udzielić mi wymowy i nie wypuszczać z swéj opieki. Może głos matki błagającéj dla swego dziecka potrafi zmiękczyć jego duszę; jeszcze nie znikła zupełnie nadzieja.

Starzec naprożno starał się zmienić postanowienie téj młodéj kobiéty, nie mógł tego uskutecznić i oddalił się z sercem pełném smutku i uwielbienia.

W godzinę później znajdowała się Paulina w sypialnym pokoju swojego męża i rzekła do niego.

— Gustawie, mogliśmy żyć szczęśliwi, a ty nie chciałeś tego. Aż dotąd ukrywałam łzy moje, lecz boleść niszczy odwagę. Ciebie jednego mam tylko na świecie, który kochać mnie i opiekować się mną powinieneś. Dla czegóż więc unikasz mnie, i nie masz litości nad matką twojego dziécięcia? Gustawie, czyliż mimowolnie zraniłam serce twoje? Czy nie znajdujesz w duszy mojéj dosyć czułości i przywiązania? Cóż mam czynić abym cię mogła uszczęśliwić? Och! mów, rozkaż, wszelkie ofiary poniosę abym mogła zasłużyć na twe przywiązanie, lecz mów tylko... gdyż trzeba aby los mój dzisiaj został roztrzygnięty.

Ryszard, zakrywszy twarz rękoma, słuchał długo w milczeniu. Skoro skończyła mówić, odezwał się głosem powolnym, w którym przebijało się nieco wzruszenia.

— Ja wiem, Paulino, że pobłądziłem względem ciebie. Nie mogę powiedziéć jakim sposobem, ani dla czego, wkradło się pomiędzy nas poróżnienie, lecz czuję że ty musisz być nieszczęśliwą...

Wachał się przez chwilę, nakoniec rzekł głosem zniżonym.

— Jeden tylko zostaje środek, aby przerwać tak przykre dla nas obojga położenie: oto podpisz, jeżeli chcesz, ten akt, który wróc wolność nam obojgu?

Paulina rzuciła okiem na papier, który mąż jej podawał. Rozpacz ją ogarnęła, i przez kilka chwil stała nieporuszona, jakby wszelkiego uczucia pozbawiona. Nakoniec, przezwyciężywszy się, rzekła głosem przerywanym.

— Gdybym nie chciała podpisać, cóżbyś zrobił?

— Natenczas sądy roztrzygną.

— A więc, ty byś mię włóczył po sądach bez litości, okryłbyś hańbą życie moje, zerwałbys węzły które nas łączą, nie czując żadnych w sercu swojém wyrzutów! Miéj litość, nade mną i nad sobą samym!... O cóż możesz mię oskarżać, jakiż błąd popełniłam, jaką zdrodnie? Czyliż ciebie nie godną jestem, że mnie odpychasz od siebie, i nie chcesz abym nosiła twoje nazwisko? Ach! przez litość! Gustawie,

rzeknij się tego okropnego zamiaru. Pierwéjbym umarła, niżeli stanęła przed sądem.

— Ja cię nieoskarżam wcale o zbrodnią. Gdybyś przeczytała ten akt, przekonałabyś się, że żądam tylko rozwodu dla niezgodności naszych charakterów!

— Niezgodność charakterów! gdzież ty więc ją widzisz? Kiedyż moja wola inna była niżeli twoja? Czyliż twoje życzenia nie miały zawsze piérwszeństwa przed mojemi? Czyliż od pięciu lat jak żyję sama, w zapomnieniu, pogardzona przez ciebie, kiedykolwiek skarga wyszła z ust moich? Nie, nie, ty nie masz prawa żądać rozwodu! Ja tylko, ja sama tylko cierpiałam i płakałam! ja doznawałam smutnych skutków twych nieszczęsnych namiętności! Ja tylko mam prawo go żądać i wnieść straszliwe oskarżenie o złamanie wiary małżeńskiéj.., ja tego jednak nie uczyniłam...

— Pani?

— Jesteś przekonany iż wiedziałam o wszystkiém, a jednak ani razu nie rzekłam: Jestem nieszczęśliwą! Wiele długich nocy strawiłam

bezsennie, z twarzą zroszoną łzami, wzywając śmierci na pomoc, a nazajutrz ociérałam łzy za twojém przybyciem, i wyciągałam ku tobie ręce, uśmiéchając się. Moje nieszczęście nie obchodziło mnie, bylebyś ty był szczęśliwy..... A dzisiaj chcesz rozwodu! Dzisiaj jestem żoną i matką, jutro będę niczém, i stracę twoje imie!... Gustawie, powiedz, czego wymagasz odemnie? Czyli chcesz abym z uniżeniem, na kolanach przed tobą, dozwoliła ci dręczyć do woli to serce zanadto przywiązane do ciebie? Zezwalam na to, jeszcze raz rozpacz moję zmuszę do milczenia, nie usłyszysz wcale wyrzutów, ani jednego słowa przykrego. Jeżeli nie znajdziesz szczęścia w mojém towarzystwie, będziesz się oddalał; jeżeli w zmartwieniu jakiém będziesz szukał u mnie pociechy, znajdziesz mnie niepomną na przeszłość, zawsze równie przywiązaną, równie podległą. Zezwalam na wszystko; poddaje się nieszczęściu i opuszczeniu... lecz rozwód, nigdy! nigdy!

—Skończmy rzecz całą, wyjąknął Ryszard, który

nie spodziewał się takiego oporu, i czuł swe serce zmiękczone obrazem tylu cierpień, takiego poświęcenia się. Ty cierpisz, ja to widzę, i mocno nad tém ubolewam. Znam moje błędy, wiem że nie jestem godny ciebie, a nie mam odwagi do poskromienia mych namiętności aby cię uszczęśliwić. Widzisz więc, że trzeba aby rozłączenie...

— Nigdy! Nigdy!

W téj chwili wbiegło piękne dziécie i rzuciło się w objęcia swéj matki; Paulina zadrżała, i przycisnęła go do serca, a twarz jéj zajaśniała radością i nadzieją. Przybliżywszy się do męża, kazała uklęknąć dziécięciu, sama uklękła obok niego, i rzekła ze łzami:

— A twego syna, Gustawie, twego syna, którego tak rzadko przyjmujesz pieszczoty, czy odepchniesz go także? Niedobry ojcze, czy chcesz aby on cię kiedyś przeklinał? Ach spojrzyj na to dziécie, tak piękne i tak podobne do ciebie, ono ma w duszy swej zarody najszlachetniejszych uczuć, chcesz więc je przytłumić pierwéj ni-

żeli dojrzeć będą mogły? Sądzisz, że gdy syn twój uczuje swe czoło zroszone łzami matki, nie będzie cię nienawidził?.... Nieszczęśliwy! nienawidzieć swego ojca!.... jakież okropne uczucie, ono przytłumi wszystkie inne!.. Jeżeli nie jesteś w połowie tylko okrutny, jeżeli go wydrzesz czułości mojéj, i sam zajmiesz się jego wychowaniem, będziesz musiał dla uniewinnienia siebie w oczach jego mnie obwinić, a on pogardzać będzie swą biédną matką, która umrze zdala od niego!... On i ciebie nie będzie kochał, gdyż przeczucie szczęścia znajduje się w duszy wszystkich ludzi, i oni nienawidzą tych, którzy niszczą ich pierwsze złudzenia, którzy tłumią ich pierwsze uczucia; on będzie złym obywatelem, gdyż samotny, nieznając słodyczy związków rodzinnych, nie znajdzie jéj w obowiązkach względem kraju; będzie złym mężem, złym ojcem, bo straszliwe przykłady zrobią wrażenie na jego młodém pojęciu. I ty chcesz syna twego pogrążyć w takiém nieszczę-

ścin? Ach! litości Gustawie! litości dla matki i dziecięcia.

Gustaw mocno wzruszony, chciał odsunąć ze słodyczą Paulinę i odwrócił głowę.

— Nie, nie! zawołała uchwyciwszy go za rękę, będziem klęczyć przed tobą, dopóki będziesz miał tę smutną odwagę dręczenia nas obojga. Mój synu, obejmij kolana twojego ojca! jeżeli nas odepchnie, niech pamięć téj chwili nigdy go nieopuszcza; niech widzi zawsze, jak teraz, kobiétę łzami zalaną, która go błaga, imieniem syna swego, imieniem swéj miłości, o szczęście i życie! niech widzi swe czułe dziécie wyciągające ku niemu swe ręce, i wołające: Ulituj się nad moją matką! Ach! opowiedz mu całe to szczęście jakie znaleźć może w czułosci syna! w przywiązaniu żony! przypomnij mu świętość związków, które nas łączą.... Widzisz, Gustawie, twój syn tak młody jeszcze, odgaduje nieszczęście, które nam grozi, gdyż on płacze razem ze mną... jego łzy skrapiają rękę moją.... czy będziesz bez litości?... Gustawie!... oh! ty płaczesz także!.. łzy! łzy! jesteśmy oca-

lenił. Mój synu, śpiesz w objęcia jego, a ja u nóg oczekiwać będę, dopóki nie otrzymasz łaski dla twéj matki!

I biédna matka, nie posiadając się z radości, posunęła w objęcia swego męża płaczące dzié-cię, które nie przeczuwało całéj potęgi swych łez. Gustaw, zwyciężony tém wzruszeniem widział przed sobą otwiérające się nowe ży-cie. Przycisnął z uczuciem dziécię do serca potém porwał za nieszczęsny akt, rozdarł go, ściskając razem żonę i syna:

— Teraz moja koléj, zawołał, przebaczenia! Byłem szalony!...

Dwadzieścia lat późniéj, Paulina opowiadała, ten boleśny wypadek swego życia synowi i je-go żonie, którą niedawno co pojął. Gustaw Robert tego żądał. Gdy skończyła opowiadanie Robert rzekł do swéj synowéj:

— Widzisz, moja córko, Paulina wiele ofiar ponieść musiała w wypełnieniu swych obowiąz-ków, lecz została wynagrodzoną. Miéj to prze-konanie, iż nie ma człowieka, któryby się mógł oprzeć cnocie, miłości i przywiązaniu żony

Wasze przeznaczenie jest uszczęśliwiać nas i poprawiać!

— A ty mój synu, rzekła Paulina, pamiętaj zawsze, że jedyném szczęściem człowieka jest zgoda rodzinna, i że dobrzy ojcowie rodziny są dobremi obywatelami, a dobrzy obywatele stanowią potęgę krajów.

DUMANIE.

Dumam czém myśli moje? błyskawicą!
Splotem piorunów co z za chmur topieli,
Czołem skrwawioném wpośród dali świecą,
I znowu gasną w czarnéj burz pościeli.
A! Moje szczęście, kwiat marzeń uwiędły,
Kwiat co miał błyszczeć wdziękami i wonią;
Dłonie urojeń szaty mu uprzędły

I roskosz wiankiem zawisły nad skronią.
Moje życzenia! to światełka ziemi,
Co błysły, świecą i zgasną za chwilę.
Pragnęły roskosz, ścigały za niemi,
Lecz te ubiegły jak wiosny motyle!
Me namiętności! to wulkan dymiący,
Co pierś płomieniem uniesień rozrywał,
Co płynął rzeką łez lawy żarzącéj,
Popiół boleści w około rozsiewał!...
Moje uczucia! śpienione potoki,
Co łzy i perły tryskając w około,
Szumią po skałach, wznoszą się w obłoki!
I znów spadają rosić dolin czoło!
A miłość moja?! to sen uniesienia!
To iskra bóstwa co wśród serca płonie.
To Cherubina o szczęściu marzenia,
W nieśmiertelności kwiat zasiany łonie.
Moje westchnienia?! licznych kwiatów wonie,
Różnych jak myśl ma barwami i wdzię-
kiem,
Co kryją słodycz wraz z trucizną w łonie,
W uśmiech skroń zwieńczą, a pierś natchną
jękiem.
A moje życie?! to ogromna rzeka!

Co pierś szeroko po skałach rozlała,
Kwieciste łąki widziała z daleka!
Tysiącem wichrów i burz zaszumiała!
A chwilą szczęścia! pokoju! roskoszy?!
Wieczne z tém życiem cierpień pożegnanie!
Z niém zgasną czucia, myśli śmierć rozproszy,
I wspomnień nawet po mnie nie zostanie!!...

Juzefat Paschalski.

SPIS RZECZY

W TOMIE VIII. ZAWARTYCH.